

ŚWIAT

Nr 6

11. II. 1939

CENA 1 ZŁ.



w n u m e r z e ;

L. CHRZANOWSKI
WIELKI PAPIEŻ



P O Ł Ó W P E R E Ł



Z. NORBLIN-CHYZANOWSKA
„ADRIA” BONTEMPELLEGO



B. S. STEFANOWSKI
STOLICA MEDITERRANÉE



Ł Y Ź W I A R S K I E
MISTRZOSTWA EUROPY
W ZAKOPANEM



CZ. JASTRZĘBIEC KOZŁOWSKI
CZTERY FANTY
(g r o t e s k a)



Z OSTATNICH WYSTAW



WŁADYSŁAW KROGULSKI
DZIEJE TEATRU W POLSCE



ŚWIAT KSIĄŻKI, FILM

W tym numerze kupony
ulgowe do Teatrów:

Malickiej i »8.15«

LAS W ZAKOPANEM

Fot. dr. A. Wleczorek

*Naturalny środek
przeciw obstrukcji to Ziola
Przecyszczające Karpńskiego
paczka zł. 1,50. torebka 25 gr.*

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXIV Nr. 6
11. II. 1939

L. CHRZANOWSKI

WIELKI PAPIEŻ

Kiedy po raz pierwszy dnia 6 lutego 1922-go roku w loggii Watykanu, nad głównym wejściem do Bazyliki św. Piotra ujrzelismy białą postać nowoobranego Papieża, to cały tłum zgromadzony na placu przeszedł dziwny wstrząs wzruszenia i jakiejś wielkiej jasności. Nikt się temu wzruszeniu nie był w stanie oprzeć.

Stałem wśród ludzi najróżniejszych kondycji. Proste kobiety włoskie. Zimni, spleenowaci turyści angielscy. Ekstrawaganczy, rozpierający się, krzykliwi amerykańscy globtrotterzy — nagle ściszeni i onieśmieleni. Ludzie w futrach i w paltocinach zwykłych. Damy w otwartych autach rozparte i kobiety z ludu, otoczone gromadą dzieci. Robotnicy z pobliskich zakładów — obiadową godzinę spędzający na placu San-Pietro. Wszyscy, przeniknięci byli jak prądem elektrycznym dziwną nieokreśloną świadomością, że nie tylko biorą udział w wielkim momencie ukazania się nowego Papieża, że nie tylko mają szczęście niemal bezpośredniego kontaktu, że nie tylko otrzymują oni właśnie pierwsze błogosławieństwo ukazującego się im w górze Ojca Świętego, ale również jakąś nieuzasadnioną i nieokreśloną pe-



Papież Pius XI.

wność, że są świadkami rozpoczynającego się okresu Wielkiego Piętnastwa.

Powaga, skupienie i radość

malowały się w oczach wszystkich.

Nie są te moje dzisiejsze wspomnienia refleksją po siedemna-

stu latach kierowania Stolicą Apostolską przez Piusa XI-go. Zajrzałem do ówczesnych moich korespondencji „z miejsca“ i odżyły z całą plastycznością: wzruszone o czy długiego flegmatycznego anglika, stojącego obok i wpatrzonego w białą postać Piusa XI-go i spojrzenie załzawione otyłej włoszki, w olśnieniu ku tejże postaci biegnące, wówczas, gdy najstarsze dziecko, z otaczającej ją licznej progenitury, dwunastoletnia dziewczynka, z rękami odruchowo, jak do modlitwy złożonymi, w uwielbieniu, prawie nieświadomie powtarzała: „È il Papa, è il Papa!“

Odżyły i uplastyczniły się te obrazy powszechnego przejęcia z przed lat kilkunastu, z pośród kilkutyśięcznego tłumu na placu św. Piotra, tłumu, w którym nie mogło być nikogo do głębi niewzruszonego.

Mija lat kilkanaście. Dziś niezrozumiałe, wieszczę niemal wzruszenie tej masy ludzkiej, stało się zrozumiałe.

Dziś niema wątpliwości najmniejszej, że barką św. Piotra steruje Wielki Papież!

Jego wielkość, nie w stosunku do zwykłych, wybitnych ludzi, ale w stosunku do Jego poprzedników w Watykanie uwydatnia się tem silniej, promieniuje tem jaśniej. Wielki swą mocą ducha, rozległością wiedzy, niezwykłą mądrością poczyną i zarządzeń, wyjątkową głębią i dobrocią serca — oto Ten, co 12-go lutego 1922-go roku uroczyście koronowany został w Bazylice Watykańskiej i zasiadł na tronie św. Piotra jako Pius XI-y.

Wielkie dzieło Piusa XI-go przede wszystkim uwieńczone zostało zakończeniem sporu z Włochami i układem Laterańskim. Powstało Miasto Watykańskie. Odtąd niema już dobrowolnych więźniów Watykanu. A jednocześnie w czasach trudnych powojennych konfliktów, ran niezagojonych, pretensji państw do państw, rozluźnienia obyczajów, upadku charakterów ludzkich, pogoni za łatwym

zaspokojeniem wygodnej szczęśliwości — Watykan stale, bez przerwy jaśniał jako opoka, gdzie zwycięstwo wartości moralnych z coraz większą mocą górowało nad poczynaniami i metodami świata. I stało się tak, że zawierane konkordaty z różnemi państwami, że szereg głębokich i wzniosłych encyklik Piusa XI-go były nie tylko wzorami mądrości i sumienności politycznej, ale i źródłem otuchy i moralnego pokrzepienia olbrzymich mas ludzkich. Te głębokie wartości zawarte w każdym zdaniu, w każdym zwróceniu się Wielkiego Papieża do świata sprawiły, że Watykan w pojęciu milionowych rzesz wiernych stał się przybytkiem sprawiedliwości, miłości, ośrodkiem wzniosłości i tryumfu ducha. Biegną więc dziś ku Watykanowi i ku tronowi papieskiemu nie tylko myśli świata katolickiego, ale i całego świata tych, co

wierzą. Biegną myśli tych, co często byli obojętni w wierze, a dziś odzyskali ją i odzyskują, widząc i czując tę moc ducha, przeniknięci tą potęgą wiary i dobroci, jakimi ogarnął w swej trosce całą ludzkość sternik Stolicy Piotrowej, Wielki Papież, Pius XI-y.

Sprawił on wielkością swego ducha, ogromem miłości i mocą swego umysłu, że władza Wiary wzrosła i rośnie nieustannie, a miliony ludzi w hołdzie, z sercami przepelnionemi wzruszeniem chylą się przed postacią Papieża, co w 82-im roku swego życia z tak wielką jasnością umysłu i kryniczną żywotnością serca sprawuje rząd dusz.

Przed postacią Ojca Świętego, co swą wzniosłą mądrością całemu światu ukazał, na jakiej nie-skruszonej opoce wiary barka Piotrowa wsparta jest w Watykanie, przyświecając swą jasnością i dobrocią całemu światu.



*Plac Ś-go Piotra w Rzymie.
Bazylika Ś-go Piotra, widziana z pod kolumnady Berniniego.*

P O Ł Ó W P E R E Ł

O wartości opinii publicznej

„Rzecz pewna, że konstytucja terażniejsza, zagrodziwszy drogę wszelkim partjom, przez własną moc opierać się potrafi wszelkim usiłowaniom anarchicznym. Lecz dlatego opinia publiczna nie jest mniej potrzebna dla naszego rządu, starać się on powinien o ten najpożądany z całym narodem związek, i wszystkich przykładać usiłowań, aby zawsze wiedział o prawdziwym stanie opinii publicznej, i aby jej nie przytłumił. Może ona na czas umilknąć przed groźbą, ale jej groźba nie pokona. Zamknie się owszem w niedostępnej fortece serca ludzkiego, gdzie utajona stanie się nierównie silniejsza“.

*

Czyż to słowa, na Boga? Któż to tak liberalne rady dawać się ośmiela?

Hugo Kołłątaj.

W „Uwagach nad terażniejszym położeniem tej części ziemi polskiej, którą od pokoju Tylżyckiego zaczęto zwać Xięstwem Warszawskim“. (Wydane w Lipsku, roku Pańskiego 1808).

Nic nowego pod słońcem — jak widzimy.

Nawet motto, umieszczone na karcie tytułowej: NIL DESPERANDUM.

*

A jeszcze o tem samem tak mówił Montesquieu:

Kiedy w jakimś państwie, mówiąc o sprawach publicznych, każdy wzrusza ramionami i stwierdza: „Co mnie to obchodzi“ — sprawy publiczne przepadły.

Ratunku!

Wypoczynkowiczom przysługujeniżka.

Uciekinierzy godni są litości.

Ale twórcy takich nowotworów złośliwych na żywym organizmie języka polskiego godni są rozszarpania kołem albo wbicia na pal bez pardonu.

Jasnowidzenie

Kiedy znakomity kompozytor włoski, Perosi, sprowadzony został z Wenecji do Watykanu dla kierowania Kapelą Sykstyńską, papież Leon XIII zaprosił go do siebie, chcąc poznać sławnego muzyka osobiście. Zapytał przytem Perosiego, czy zadowolony jest ze swej nowej placówki artystycznej.

— Och, oczywiście, Ojcie święty — odpowiedział maestro, ale po chwili wahania dodał: — Szkoda tylko, że w Wenecji pozostał mój ukochany kardynał. Rozstałem się z nim z wielkim żalem.

Wtedy Leon XIII odrzekł jakby w natchnieniu:

— Rozstanie nie będzie długie. Twój kardynał wkrótce znajdzie się w Rzymie i będziesz mu nadal służył, jako memu następcy.

Wkrótce potem Leon XIII umarł, a kardynał Sarto, patriarcha Wenecji, został papieżem pod imieniem Piusa X.

Z damami i bez

Antyfeministą nie jestem, uchowaj mnie Boże. Ale jedno spostrzeżenie wszyscyśmy chyba zdążyli i w ostatnich czasach zrobić.

Kiedy z damami — to fiu-fiu.

Kiedy na serjo — to już bezwzruszowo bez dam.

Gdzie?

Na tej arenie najszerzej — międzynarodowej.

Kiedy nie chodzi o przelewki — wówczas Chamberlain z parasolem, Daladier w pogniecionym kołnierzyku, Bonnet z pożyczką na łysinie i Mussolini w wojskowym uniformie lecieli do Monachjum — bez dam.

Kiedy zacny optymistą parasolowy wraz ze swym pełnym rezerwy Halifaxem pragnęli pogadać dorzecznie z Duce, nie mogło być wahania. Jazda do Rzymu — bez dam.

Kiedy pan z chaplinowskim wąsikiem odwiedził Benita, przyjmowany po królewsku, kiedy go Benito rewizytował — rzecz dla wszystkich była jasna: bez dam.

A kiedy z damami?

Ach, mój Boże, — wtedy kiedy i tak i owak, o pogodzie i o chmur-

kach, o kwiatach i o przyjaźni, dwa kroki naprzód, a dwa w tył, kiedy ni pies ni wydra, kiedy słowem, jako program naczelny: majonez, indyk, szampan i rozczulające toasty.

Te toasty, w których jest wszystko a niema nic.

(Gdyby nie damy przy stole — sami oratorzy pękliby ze śmiechu).

Ale że damy siedzą — więc się udaje że na serjo, że proszę państwa zrozumienie, porozumienie, rozważanie i uzgodnienie, i wogóle i w szczególe ważność.

A cała ta sieczka, jak bukietem kwiatów, ozdobiona uśmiechami dam.

Więc już teraz wiecie: jak będzie z damami — to tylko faranuzki.

Bez dam — proszę bardzo: sprawa serjo.

(A damy, biedulinki, tyle przeważnie mają złudzeń...).

Kolce i róże

Austria, jak pamiętamy wszyscy, przyjęła „wizytę kolossal“ z entuzjazmem.

Miodem i mlekiem, można powiedzieć, winem i różami.

Różami... Cóż, kolce przyszedły później. Przyszedły — i jakoś nie odchodzą.

Był jeden gauleiter na Wiedeń — skończył się.

Naznaczono drugiego. Może prędzej te kolce pocobrywa.

Więc zaczął od przemówienia. Stwierdził, że „wypełnienie programu narodowo - socjalistycznego nie postępuje w Austrii bez przeszkód“. I że „obywatelowi niemieckiemu trzeba dodać sił, celem uczynienia z niego dobrego narodowego socjalisty“. (Ja myślę! przyp. mój).

No i obiecał „zrównanie stopy życiowej Austrii ze stopą życiową Rzeszy — a jeśli nastąpią pewne trudności aprowizacyjne, to trzeba się do nich przystosować“. (Pocieszył ich. Przyp. mój).

Ach, wieńczyliście gości różami, lekkomyślni austriacy...

Teraz zostały wam kolce.

Niebezpieczny slogan

„Zapamiętaj cztery słowa:
Sejm to ordynacja nowa“.

Któż tego miłego wierszyka nie zna? Matki dzieciom do kołyski nuciły go przed kilkoma tygodniami. (Dzieciom można: i tak nie uwierzą).

Reszta narodu częściowo wzięła wierszyk na serjo. No i ławą do urn wyborczych. Bo nowej ordynacji pragnął każdy, jak kania dżdżu.

Sejm zasiadł, rozsiadł się — i poczuł się wygodnie. A kiedy się poczuł wygodnie — zrobiło mu się żal.

Więc o wielu rzeczach się tam mówi. Z mniejszym lub większym sensem. Ale się mówi. O jednym — ani mru-mru: o nowej ordynacji, *wyrażnie zaordynowanej* przez najwyższe czynniki w Państwie.

I oto odezwał się głos wołającego na puszczy. Czyj? Tego nie-szczęśliwca, co slogan wymyślił i niebacznie Ozonowi dał do ręki. Posłuchajmy tego głosu — głosu popularnego satyryka, Minkiewicza.

Pisze w „Jutrze Pracy“ tak:

„W swoim czasie przyszli do mnie sympatyczni faceci i powiedzieli:

— Trzeba nam hasła i sloganów, żeby przekonały ludzi o konieczności głosowania do Sejmu.

Nie widziałem tej konieczności. Cóż to za Sejm będzie zrodzony z takiej ordynacji?!

— Nie podoba się panu ordynacja?! Świetnie! Nam się też nie podoba! I nikomu się nie podoba! I właśnie dlatego trzeba głosować. Sejm zwołany jest po to, aby złą ordynację zmienić na dobrą.

Przekonali mnie w czasie tej kolacyjki w Bristolu. Nie siląc się na zbytnią oryginalność, dałem im ów slogan z „czterema słowami“. Spodobał się.

Kiedy przed kilku miesiącami te cztery słowa wyszły mi z pod pióra, byłem z nich zadowolony. Ale dziś zaczynam czuć w powietrzu zapach kompromitacji. Auto-kompromitacji“.

Bo niby: slogan był — ale nowej ordynacji nie widać.

Pewno, pewno...

Miłe złego początku, lecz koniec żaloszny.

W Y N I K I P R A C Y P K O

w r. 1938

I Ł O Ś Ć S T A Ł Y C H
K L I E N T Ó W

3.633.374

S U M A W K Ł A D Ó W

zł 1.094.000.000

L O K A T Y

zł 1.017.600.000

O B R O T Y

zł 40.000.000.000

P K O — Pewność - Zaufanie

Komfort XX wieku

W Paryżu otwarto bardzo interesującą wystawę nowoczesnych urządzeń domowych. Do niedawna coroczne te wystawy prezentowały coraz wspanialsze udoskonalenia w zakresie higieny, coraz lepsze odkurzacze, elektryczne wymyślne maszynki i ogrzewacze, frigidairy, tłumiki akustyczne, najnowsze modele pięknych oświetleń, tysiące wynalazków dla ułatwienia pracy w kuchni, etc.

W tym roku...

Jak pisze znany feljetonista, Vautel, oto co ujrzał w tym roku:

Najnowsze modele uszczelnień przeciwgazowych na wszelkie otwory. Błękitne żarówki o małej ilości woltów, abażury przyciemniające na czas nalotów wojennych. Specjalne gotowe szyby papierowe do naklejania na okna: w razie bomb szyby wówczas podobno się nie rozpryskują. Zbiorniki na wodę na wypadek przerwania dopływu w rurach wodociągowych. Hermetyczne pudła na artykuły żywnościowe, aby je uchronić od zatrucia gazami. No i różne takie figielki.

Ach — wzdycha Vautel — gdzież są te czasy, kiedy sprawą najważniejszą przy zakładaniu nowego gniazdka było pytanie:

„Salon Ludwik XV czy Empire? Jadalnia renesansowa czy w stylu ludowym? A łóżka metalowe czy drewniane?“

Nasz „postęp“ zmiotł z powierzchni ziemi te głupstwa.

„Czarująca epoka — powiada Vautel. I jak na złość, nie można sobie wybrać innej“...

Niektórym publicystom do sztabucha

W polityce bronić do upadłego władzę odchodzącą, to znaczy zyskać sobie szacunek władzy która nadchodzi.

(Adolphe d'Houdetot).

Komentarz nowoczesny: Ale któżby tam dbał o szacunek?

Korzyść doraźną zaś może dać tylko „władza przy władzy“.

Więc niech żyją panegiriki — ale wyłącznie dla aktualnych ministrów.

Uparty nurek.

SERJA WŁOSKA „KSIĄŻNICY”

Rok temu, z okazji pobytu w Warszawie znakomitego pisarza włoskiego, Bontempellego, musiałam z przykrością podkreślić w swych artykułach w „Świecie” i „Kurjerze Warszawskim” zawstydzającą rzeczywistość: oto najkulturalniejszy nawet czytelnik w Polsce zupełnie prawie nie znał twórczości literackiej kraju tak interesującego, jak Włochy. Podkreśliłam wówczas dobitnie, że wina tym razem wcale nie leży po stronie czytelnika: zaniedbanie to bowiem wpływało wyłącznie z niewytłomaczonej obojętności naszych wydawców wobec piśmiennictwa włoskiego.

Wydawcy polscy zalewali rynek przekładami wszystkiego niemal co wybitniejsze z literatury angielskich, skandynawskich, z literatury francuskiej, rosyjskiej, niemieckiej — ignorując jednocześnie z dziwną uporczywością literaturę włoską.

Prawda — nie cała. Naturalnie przełożono i wydano u nas większość „dzieł” znanego włoskiego pornografa, Pitigrillego, oraz jego godnego konkurenta, Guido da Verony. Natomiast dzieła wartości istotnej, utwory stanowiące najcenniejszy wkład Włoch do myślowego i artystycznego dorobku ludzkości — to słowem co z twórczości Włoch dzisiejszych pozostanie — było ciągle jeszcze dla czytelnika polskiego „terra incognita”.

Formułując pod adresem wydawców polskich te zarzuty wcale nie łudziłam się nadzieją, aby mój głos wołającego na puszczy wpłynął na jakąkolwiek zmianę w tej sprawie. Może się myliłam — widocznie wydawców polskich niedoceniałam. Bo oto dziś, po upływie roku, zanotować mi wypada rzecz niezmiernie pocieszającą: jedna z czołowych naszych firm wydawniczych, „Książnica - Atlas”, zapoczątkowała szeroko zakrojoną serję przekładów z włoskiego;

trzy pierwsze tomy tej serji już się ukazały na półkach księgarskich, następne zaś ukażą się w dniach najbliższych.

Dzięki trafnej intuicji artystycznej jednego z naszych najpoważniejszych wydawców oraz pomyślnemu splotowi okoliczności i konsekwentnemu zwalczaniu piętrzących się trudności — rozpoczęto szczęśliwie dzieło, które wzbogaci i pogłębi nasze kontakty z kulturą zachodu poprzez dzieła literackie wysokiej miary.

A sprawa nie była łatwa — dlatego tu wspominać o konsekwentnym zwalczaniu trudności. Trudności te polegały na niedostatecznej liczbie tłumaczy, mogących dać gwarancję przekładu naprawdę literackiego. Chętnych bywa legion — powołanych, niestety, garsteczka. A że Książnica jako punkt naczelny swego programu postawiła zasadę przekładów nieposzlakowanych — (dążenie u nas rzadkie i tem godniejsze podkreślenia) — przeto osiągnięcie tego poziomu bynajmniej nie przyszło samo.

Trudności jednak pokonano i dziś już spojrzeć możemy z zadowoleniem na pierwsze rezultaty wysiłków: dwa tomy Bontempellego — „Wycieczka na tęczę” i „Adria, dzieje kobiety pięknej”, tom Panziniego „Latarka Dżogenesa”. Na najbliższą przyszłość zapowiedziano tomy następne: „Giovanni Episcopo” d’Annunzia, „Ksantypa” Panziniego, „Siostry Materassi” Palazzeschiego, „Frusaglia” Tombariego. Poza d’Annunziem, jak widzimy, nazwiska dla czytelników polskich mało znane albo nieznane zupełnie. A pisarze to wybitni, i sława ich dawno przekroczyła granice własnej ojczyzny. Najwyższy był czas, aby i do Polski dotarły ich dzieła — i uznać wypada pionierską akcję Książnicy za godną podkreślenia zasługę w dziedzinie naszej kultury literackiej.

„ADRIA, DZIEJE KOBIETY PIĘKNEJ” M. BONTEMPELLEGO^{*)}

Massimo Bontempelli, głęboki psycholog i świetny pisarz, wziął za temat swej powieści wybujały egoizm kobiety, rozmiłowanej we własnej piękności tak dalece, że przestają dla niej istnieć wszelkie uczucia, wszelkie obowiązki — poza tym jednym: być piękną, stwarzać rany dla własnej urody, wyłącznie tej urodzie służyć, poświęcać jej cały swój czas i myśli.

Adria roztacza dokoła siebie atmosferę kultu niemal religijnego, który na ołtarzu jedno tylko stawia bóstwo. Niema w tym kulcie żadnej zmysłowości, — tylko świadomość jakiegoś wielkiego dystansu. Tak pojęta magiczna władza zawarta w urodzie przeraża się w ślepe fatum, które złowrogo decyduje o losach wszystkich wyznawców tego dziwnego kultu. Nie oszczędza ono w końcu i kapłanki tego kultu — Adrii.

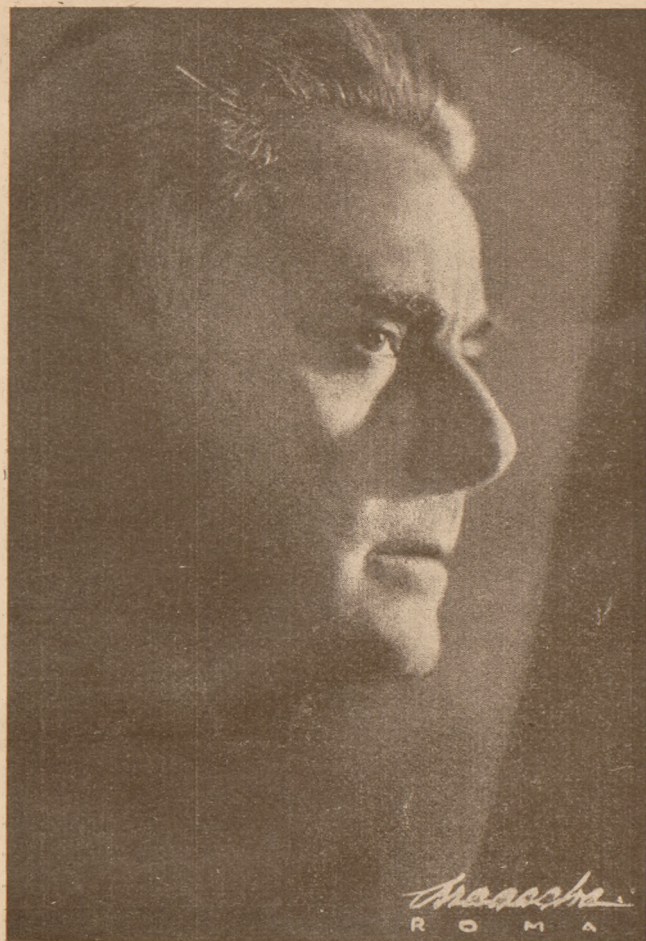
Pod wpływem narcyzowego zapatrzenia kobiety w swoją piękność milkną w Adrii wszelkie struny ludzkie, zamiera każdy odruch uczucia. Odgradza się ona od smutków i dramatów istot sobie oddanych, w chłodnym oddaleniu trzyma własne dzieci, wpa-

trzone w nią jak w dalekie, na klęczkach czczone bóstwo. Adria urody swojej nie uważa za środek do jakiegokolwiek celu: uroda stanowi właśnie jedyny cel w jej życiu. Dla tego celu wyrzeka się miłości, wyrzeka się wszelkich wzruszeń. Zatrzymawszy wokół siebie bieg ludzkich namiętności, sądzi że zatrzymała i bieg czasu, że ustabilizowała na wieczność wszystko i w sobie samej. W tej lodowatej atmosferze postanawia konserwować swój doskonały kształt zewnętrzny, wyętzając swoją wolę wyłącznie w tym jedynym kierunku.

Odtworzywszy z właściwą sobie finezją klimat duchowy w jakim żyje Adria, rozwija Bontempelli dalsze dzieje jej męża, dzieci i jej samej, wiążąc je najlogiczniej z kultem, któremu wszyscy się podporządkowują.

Pierwsza poświęca się na swój sposób Adria. Dnia pewnego po chwili nagłego i niezrozumiałego dla niej samej wzruszenia, spostrzega w lustrze odbicie swe jeszcze piękniejsze niż zwykle. Jest przerażona. Nie chce patrzeć na żadne zmiany swej urody — wie, że być dzisiaj piękniejszą znaczy być mniej piękną jutro. Nie chce, aby na te zmiany patrzyli jej wyznawcy. Chce swoją urodę w jej zenicie

^{*)} Massimo Bontempelli — „Adria, dzieje kobiety pięknej”. Wyd. Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa, 1939.



Massimo Bontempelli
członek Akademii Włoskiej

uwiecznić w pamięci własnej i w pamięci wszystkich tych, którzy ją znali. I zupełnie spokojnie postanawia wycofać się ze świata.

Opuszcza Rzym, wynajmuje dla siebie cały dom w cichej ustronnej dzielnicy Paryża — i tam, żywcem zamurowana, niewidzialna dla nikogo, samotna pozostaje do śmierci.

Dalszy rozwój wypadków, śmierć męża Adrji, kształtowanie się psychiczne jej opuszczonych dzieci — Rema i Tulii — los tych dwojga, dziwny, tragiczny a zawsze z kultem Adrji związany, przemiany wewnętrzne, które zachodzą w samej Adrji — (nie tak przecież głębokie, aby mogły wstrząsnąć jej nie-ludzkim postanowieniem) — wreszcie koniec Adrji, równie osobliwy jak jej życie — wszystko to opowiada Bontempelli z właściwą sobie prostotą, operując zdarzeniem zawsze raczej jako skutkiem przeżyć wewnętrznych, rysując losy człowieka jak gałęzie, które wyrastają z pnia jego osobowości.

Charakterystyczna dla tego autora powściągliwość słowa, unikanie bombastycznego frazesu i łatwych łązawych efektów osiąga swój punkt szczytowy w scenie rozstrzelania Tulji podczas wojny, kiedy jako szpieg włoski przedostała się poza front austriacki.

Narracja Bontempellego ma doskonale wytrzymaną ton pozorną obiektywności, który tem silniej pobudza czytelnika do zajęcia określonego stanowiska w sprawie Adrji.

Czy Adria jest prawdopodobna? Czy ten rodzaj i to napięcie deformacji indywidualności ludzkiej są możliwe? To zagadnienie każdy czytelnik oczywiście

rozstrzygnie po swojemu. Nie ulega jednak wątpliwości, że postawienie tego zagadnienia i artystyczna forma jego realizacji wypadły w powieści Bontempellego niezwykle sugestywnie. Odnajdujemy tu wszystkie zalety tego znakomitego pisarza: głęboką mądrość człowieka, trafne ujęcie psychologa i doskonałość rzemiosła pisarskiego tego najwybitniejszego dziś we Włoszech stylisty.

Przekład Zuzanny Rabskiej płynny i bardzo literacki.

Dzieła M. Bontempellego

Powieści i nowele:

Od roku 1904 do 1914:

„Socrate moderno“ — („Nowoczesny Sokrates“) — nowele.

„Nuovi racconti“ — („Nowe opowiadania“) — nowele.

„Sette savi“ — („Siedmiu mędrców“) — nowele.

Po przerwie pięcioletniej, spowodowanej służbą na froncie podczas wojny, wydał od 1919 do 1939:

„La vita intensa“ — („Życie wyteżone“) — nowele.

„La vita operosa“ — („Życie czynne“) — nowele.

„Viaggi e scoperte“ — („Podróże i odkrycia“) — nowele.

„Eva ultima“ — („Ostatnia Ewa“) — powieść.

„La scacchiera davanti allo specchio“ — („Szachownica przed zwierciadłem“) — bajka metafizyczna.

„La donna dei miei sogni“ — („Pani moich marzeń“) — nowele.

„Mia vita morte e miracoli“ — („Moje życie śmierć i cuda“) — nowele.

„Il figlio di due madri“ — („Syn dwóch matek“) — powieść.

„Vita e morte di Adria“ — („Życie i śmierć Adrji“) — powieść, wydana w przekładzie polskim pod tytułem „Adria, dzieje kobiety pięknej“.

„522“ — powieść.

„La famiglia del fabbro“ — („Rodzina kowala“) — powieść.

„Gente nel tempo“ — („Ludzie w czasie“) — powieść.

„Galleria degli schiavi“ — („Galeria niewolników“) — nowele.

Szkice, podróże, aforyzmy:

„Colloqui col neosofista“ — („Rozmowy z neosofistą“).

„Lettere da due mari“ — („Listy z dwóch mórz“).

„Visita ai vinti“ — („Wizyta u zwyciężonych“).

„La donna del Nadir“ — („Kobieta Nadiru“).

„Stato di grazia“ — („Stan łaski“).

„Pezzi di mondo“ — („Kawałki świata“).

„Pirandello, Leopardi, d'Annunzio“.

Wiersze:

„Il purosangue“.

Sztuki teatralne:

„La guardia alla luna“ — („Na straży księżyca“).

„Siepe a Nord-Ovest“ — („Płot od północy-zachodu“).

„Nostra Dea“ — („Nasza bogini“).

„Minnie la candida“ — („Niewinna Minnie“).

„Valoria“.

„Bassano, padre geloso“ — („Bassano, ojciec zazdrosny“).

„La fame“ — („Głód“).

„Nembo“ — („Chmura“).

STOLICA MÉDITERRANÉE

(Korespondencja własna „Świata” z Marsylji)

Stara jak świat jest historia walki o posiadanie władzy na morzu Śródziemnem — od fenickich feluk do pancerników typu „Duquesne”, od mowy Hanona w senacie kartagińskim („...Saguntum vestri circumsedebant legiones?”) przez słynne „ceterum censeo”... Katona, przez wyprawy krzyżowe aż do zagadnienia „kluczy” gibraltarskiego i dardaneelskiego do mów Mussoliniego i demonstracyjnej wizytacji zaśródziemnomorskich części imperjum francuskiego, dokonanej przez p. Daladier — zagadnienie jest to samo, tylko metody są nieco inne. Dawniej dobywało się Kartaginy przy pomocy katapult i balist, dzisiaj uśmiejemy się do straszliwych wojen historii, kiedy to proca walczyła o lepsze z „gladius strictus”, mieczem rzymskim. Szybkobieżne kontrtorpedowce, śmigłe krążowniki w jeden dzień przepływają morze Śródziemne od brzegu do brzegu; przestrzeń traci wartość obronną z godziną każdą nieomal: minuty rozciągają się w nieskończoność. Dystans od Paryża do Marsylji — 800 km. w linii powietrznej! — staje się maleńkim odcinkiem, linią — jak na mapie, która jest wszystkim — tylko nie odległością.

Każdy szlak powietrzny, większość ważnych linii kolejowych kieruje się ku morzom: człowiek opowiadał ląd, panując nad morzem myśli o ziemiach zamorskich. A ma-

...w basenach portowych stoją okręty...

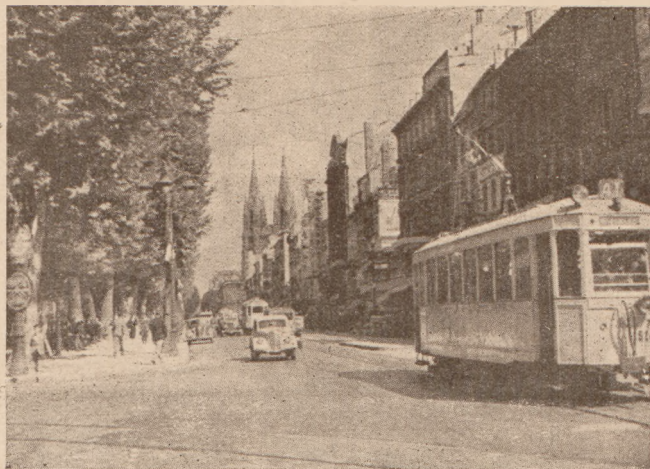


tka mórz Méditerranée, oblewa lądy ośmiu państw samodzielnych, kilku mandatowych, jest drogą na Daleki Wschód i Lewant. Nabrało też Morze Śródziemne wartości, krzyżują się na nim interesy wielkich potencji, porty śródziemnomorskie rosną w znaczenie, bogactwo, popularność. A na czele ich — Marsylja, największy port śródziemnomorski — primus ante omnes — przed Barceloną, Genuą, Tulonem, Triestem, Pireusem, Stambułem, Aleksandrią, Oranem i Algierem.

Wieki pracowały na piękno tego miasta, historia darowała mu sławę, natura — urodę niezwykłą, człowiek zbudował jeden z najwspanialszych portów globu. Wstęp do dalekiego świata, przedsmak podróży i przygody, oddech południa — te wrażenia narzuca Marsylja z siłą przemożną. Senegalczyk w czerwonym fezie, nie dbałym krokiem idący marynarz w białej czapce z ponsowym „pomponem”, zadumany arab w brudnawym „kaiku”, niebiesko ubra-

ny annamita, siejący, pogardę dla całego świata spahis w malowniczym zawoju — czują się w Marsylji tak samo, jak rodowity mieszkaniec tego miasta, osławiony tysiącem anegdot — Marjusz, wśród kłamców. Pełna uroku, malownicza Canebière, o której mówi Marsylczycy, że jest najpiękniejszą ulicą świata (— wysłuchałem tutaj, oczywiście, zdania, wygłoszonego z całą powagą przez podającego mi „bouillabaisse” miejscowego kelnera, że—„...mais oui, oui—Paris est presque comme Marseille, mais la Canebière lui manque..” Powiedziane to było bez cienia żartobliwości, przeciwnie z ogromną powagą i straszliwym, południowym akcentem) pełno jest o każdej porze dnia najdziwniejszych ludzi świata, jakichś turystów podejrzanie wyglądających, jakichś włóczęgów o manierach lordów, i zamorskich milionerów (najprawdopodobniej) o obyczajach włóczęgów. W tem mieście nikt się niczemu nie dziwi, zdziwienie jest uważane za zły ton, i, gdyby cała własna flota stanęła niespodziewanie w krwiożerczych zamiarach na vis-à-vis starego portu, ani jeden rodowity marsylczyk nie uwierzyłby napewno temu, nawet gdyby był świadkiem tej manifestacji. A gdyby uwierzył — też nie pozwoliłby sobie na odruch zdziwienia, marsylczyk wie wszystko, wszystko widział, wszystko zna.

Wychowany w cieniu schodów, które płytami marmuru prowadzą do miasta, owiany podmuchami mistral'u, który jest najzłośliwszym z wichrów śródziemnomorskich, zamieszany w wirowisko interesów, tysiąckrotnych spotkań w maleńkich „bistro”, kłótni co-



...Canebière, „najpiękniejsza ulica świata”



„Marjusz“ nie lubi się fotografować

dziennych, gotów zawsze do każdej uprzejmości — od pierwszego ukłonu kapeluszem do niemniej pięknego pchnięcia nożem, Marjusz — marsylczyk, oczajdusza, gałgan nieprawdopodobny, zdobyć się umie na gest, bohaterstwo, poświęcenie. Od czasów tysiąca Marsylczyków — którzy z pieśnią Rouget'a de Lisle na ustach przeszli, jak płomień Wielkiej Rewolucji od południa do północy Francji, ileż minęło dni, ileż razy koło historii zahaczyło o Marsylję! Pułki, z Marsylczyków złożone (nie wszyscy przecież nadają się do marynarki...) walczyły bohatersko podczas wojny światowej, na stu Francuzów — legionarzy cudzoziemskich z Marokka czy z Indochin — jest czterdziestu Marsylczyków: gorąca krew, niespokojne ręce, tęsknota do przygód — macie Marjusza — legionistę.

Nad samym brzegiem morza, wśród skalistych zatoczek, na dwudziestu pagórkach rozłożyła się Marsylja: zdaleka, o wiele kilometrów od portu jeszcze, widać złoty krzyż stojącej na wzgórzu Bazyliki Notre Dame. Jaśniej jak drogowskaz, jak dzienna latarnia marska. Wypatrują go chciwie na horyzoncie stęsknione oczy marynarzy; i ten, kto pierwszy zauważy błysk krzyża, woła:

—Widać Marsylję!

Piękne, tak bardzo i n n e miasto, żyjące sobą, wspomnieniami i teraźniejszością.

A wieczorem, kiedy sprzedawcy płaskich „moule“, ostrych — jak tysiące igieł „oursine“ów“, chropowatych „claire“ i innych tajemniczych morskich smakołyków, opuszczają swoje straganiki, stojące od tyłu lat, ile liczy sobie Marsyl-

ja na wschodnim moło Starego Portu, przywołajmy na pomoc pamięć, przymknijmy oczy, aby pan Aleksander Dumas — Ojciec, który przemawiać będzie do nas słowami „Hrabiego Monte Christo“, miał najwdzięczniejszych, ważnych słuchaczy. Spójrzmy na port: nie, nie ma w nim zjawy „Faraona“, który wprowadzony został do portu przez porucznika Edmunda Dantesa, nie, w ciemnościach nie ukrywa się pan Danglars, człowiek podstępny i fałszywy, do moła tulą się setki, dziesiątki setek jachtów, jolek, barkasów. Śpią małe nawy, okręciki białe malowane, patrząc na kołyszące się powoli łodzie spółek rybackich, syndykatów, które przemysłni ludzie morza zawiązali, aby nie dać się zgłębić złemu losowi i bardziej od losu złym ludziom.

Naprzeciwko wejścia do portu, na vis-à-vis pełnego morza stoją okręty o dziwnych nazwach: „L'abbé Faria“, „Edmond Dantes“, „Monte Christo“, „Chateau d'If“. Ach, to tutaj żyje Sindbad Marynarz, Hrabia Monte Christo,

Edmund Dantes!... Zamek If! Wypatrujemy jego konturów na lśniącej od księżycowej poświaty wodzie morza, tej przedziwnej wodzie Méditerranée, która tuż za portem jest kusząca, srebrno-czarna, tajemnicza, obiecująca...

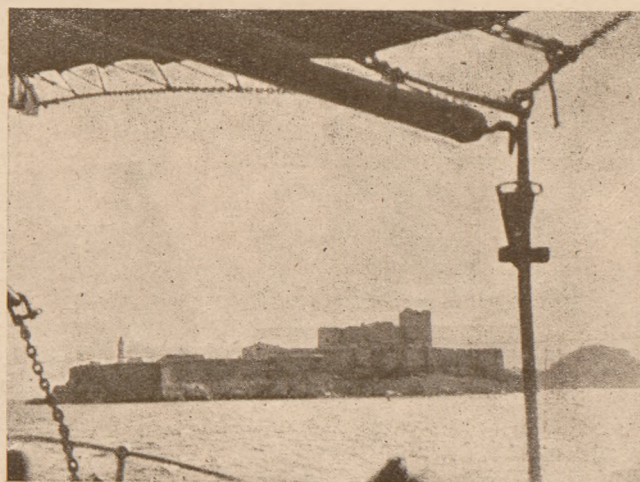
Ach, ach — właśnie za chwilę „L'abbé Faria“ odpływa na wyspę If. Czy monsieur nie chce zobaczyć zamku przy świetle księżyca? Monsieur waha się. Stary port jest taki piękny...

— Cinq francs, m'sieur! Cinq francs — aller et retour...

Stary brudas, który namawia mnie gorliwie nie jest podobny ani do Dantesa, ani do zacnego pana Morel'a, ani nawet do Danglarsa — a już najmniej do nieszczęsnego księdza Farji, ale ma łotrowskie, zgaszone przymile niem oczki i zachęcająco zaokrąglą ramię:

— Allez, allez — m'sieur, pour cinq francs, aller et retour...

„L'abbé Faria“ — transatlantyk o sile dwustu koni płynie nadspodziewanie szybko: oto już zamazujemy srebrzysty ślad księżyca, oto — zaraz po wyjściu z portu widnieje Isle d'If, z potężnym, rzucającym ponury kontur na horyzont zamkiem. Wspomnienie pracuje gorliwie i zanim „L'abbé Faria“ dobieje do wyspy pamiętamy wszystko: idzie się do góry szeroką drogą, pokrytą kamieniami, mija bramę — wykutą w grubym murze — i oto zamek. Ach, za czasów, kiedy pan Villeport był prokuratorem w Marsylii nie płacono się za wstęp do zamku: ale teraz każą nam zapłacić po trzydziści sous. Sprzedają nam jakieś świeczki, i oto jesteśmy już na małym dziedzińcu, otoczonym po-



...zamek d'If, ponura skąta w błękicie morza...



*Tu był więziony nie-
szczęsny brat Lud-
wika XIV*

sępnemi szarzyznami ścian. Wy-
soko w górze widnieje czworobok
nieba: idziemy ku niemu po wą-
skich schodach. O — pierwsza ce-
la: Edmond Dantes!

Druga: L'abbé Faria...

Trzecia: L'homme au masque
de fer.

Tak — to tutaj przecież doko-
ł swego życia domniemany brat
Ludwika XIV, więziony w Basty-
lji, w zamku na wyspie św. Mał-
gorzaty naprzeciwko St. Rapha-
ël — wreszcie tu, w ponurym zam-
ku If...

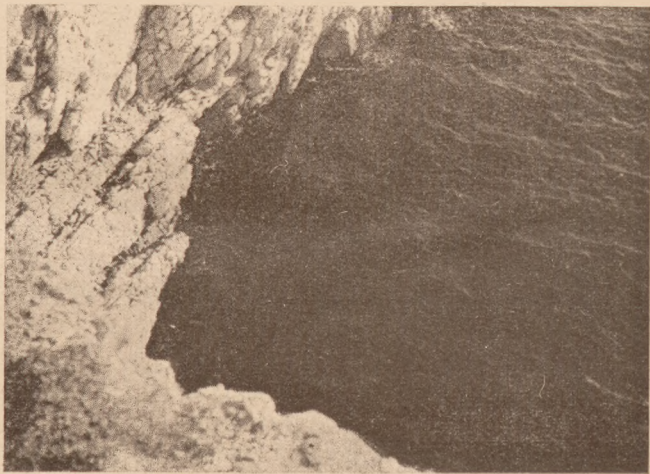
Ach — cóż to za historia...
Świeczka migoce ostrzegawczo,
chodźmy dalej: książęta, biskupi,
kawalerowie i księża, aż wreszcie:
Prince Casimir.

W ten sposób objawił się Jan
Kazimierz na zamku If, o krok od
Marsylji; ileż więzień zmienił lek-
komyślny królewicz, który w nie-
zbyt dostojnej roli „obserwatora“
hiszpańskiego usiłował lustrować
francuskie porty! „Zwiedził“ więz
St. Tropez — 7 maja 1638 r. zja-
wił się w Marsylji, stamtąd do Tu-
lonu, poczem wrócił do Marsylji,
skąd odbywał w dalszym ciągu
swoje wycieczki, i, aresztowany w
porcie Tour de Bouc w pobliżu
Marsylji, przesiedział około dwóch
t w więzieniach francuskich,
między innymi i w Chateau d'If —
z rozkazu kardynała Richelieu.

Tak, to nie najlepsza cząstka
historji rodu Wazów zazębia się z
Marsylją.

Wyjdźmy z mrocznej celi, opuść-
my posępne więzienie, a wycho-
dząc, — jeden rzut oka na dół:
Boże, jak stąd daleko do morza!
W tę to otchłań spadał nieszczęsny
Dantes, zaszyty w worku, śmier-
telnym całunie księdza Farii: spa-

dał w noc, pod którą był war fal.
Morze jest cmentarzem wyspy If.
„L'abbé Faria“ stracił najwy-
raźniej cierpliwość: syrena parow-



*Morze jest cmenta-
rzem Chateau d'If*

ca składa tak wymowne dowody
swej żywotności, że zbiegamy
szybko z wysokiej skały — i oto
patrzemy już na wspaniałą, roz-
lewającą się milionami światłał
panoramę Marsylji. Księżyc stoi

pionowo nad miastem, srebrzy mi-
gotliwymi blaskami krzyż Notre
Dame, pokrył jasną pokrywą mo-
rze, spadł mgłą na drżące iskrami
okien miasto.

Głęboko wrył się w brzegi nowy
port: zielone, czerwone, białe błys-
ki sygnałowych latarni wołają o-
strzegawczo. Ale „L'abbé Faria“
ślizga się wzdłuż basenów, oświec-
la reflektorami nieruchome, ogro-
mne kształty transatlantyków,
wciska się w tajemnicze zakamar-
ki portu, szuka, szpera. Przesuwa
się obok nas jedno, drugie, trzecie,
dziesiąte cargo z ładunkiem z ca-
łego świata, port nie śpi, port pra-
cuje, port żyje.

Czas wracać. I kiedy mijamy o-
gromnego „Prezydenta Doume-
r'a“, który przed tygodniem przy-

był z Jokohamy, dobiega naszych
uszu dziwna, obca uszom i sercu
melodja: to Annamici, załoga wie-
lotysięcznego transatlantyku, śpie-
wają pieśń o ojczyźnie w stolicy
Méditerranée.

ZE ZJEDNOCZENIA KOBIEŃ PRACUJĄCYCH

Dnia 12 stycznia odbyło się Nad-
zwyczajne Walne Zebranie Członkiń
Polskiego Zjednoczenia Kobiet Prac-
ujących Zawodowo, na którym wybrany
został nowy Zarząd, który ukonstytu-
ował się w dniu 19 stycznia w składzie
następującym: przewodnicząca p. Sen.
Anna Szelągowska, vice-przewodniczą-
ce pp. Hanna Welmanowa-Milewska, dr.
H. Millerówna, sekretarki pp. Eugenia
Dziewulska, Kazimiera Janczewska i
Ilza Ostrowska, skarbniczki pp: Irena
Pałędzka i dr. Karolina Borowska, oraz
członkinie pp. Anna Brzezińska, J. Le-
wakowska, M. Sierakowska, S. Podhor-
ska-Okolów.

Do Komisji Rewizyjnej wybrane zo-
stały pp. J. Kossowa-Wiśniewska, J.
Myślińska, H. Podgórska, A. Ryszkie-
wiczowa, M. Żerańska.

Do Sądu Koleżeńskiego pp. bar. He-
lena Lesser, Wanda Filipowiczowa, E.
Manteufflowa, L. Nitschowa, Julia Ujej-
ska.

NAJCIEKAWSZY BAL

W dniu 12 lutego r. b. t. j. w niedzie-
lę w odpowiednio udekorowanych salo-
nach Hotelu „Bristol“ odbędzie się bez-
względnie najbardziej interesujący bal
karnawału: bal książek.

Sekcja Literacka Polskiego Zjedno-
czenia Kobiet, urządzając ten bal, ma
na celu przedewszystkiem zwrócenie u-
wagi na tego „Kopciuszka“, jakim po
wojnie stała się książka, przez zbrata-
nie jej niejako z publicznością. Bo „bal
książek“ — to zetknięcie się tytułów
książek, ożyłych na tę jedną noc, z
czytelnikiem, to upersonifikowanie te-
go tytułu tak, aby łatwiej wkraść się w
pamięć czytelnika, aby go zaciekał...

Bilety wcześniej do nabycia w lokalu
Agencji Literackiej, Pierackiego 16a.

Łyżwiarskie mistrzostwa Europy w Zakopanem

Po raz pierwszy w Polsce odbyły się w roku bieżącym łyżwiarskie mistrzostwa Europy. Uzyskanie tego sportowego szczytu nie przyszło łatwo. Kilka państw ubiegało się o tę może najefektowniejszą konkurencję, jaką są mistrzostwa w jeździe parami. Polski Zw. Łyżwiarski, pracujący w niezwykle trudnych warunkach zarówno finansowych, jak i terenowych (brak lodowisk sztucznych, zależność od zmienności temperatury) zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu grozi i z wielkich przeszkód, jakie trzeba przełamać aby tak poważną imprezę doprowadzić do skutku i aby godnie reprezentować sport łyżwiarski przez wzorową organizację i udanie się zawodów. Po długich zabiegach Międzynarodowa Federacja Łyżwiarska wyznaczyła Mistrzostwa Europy w jeździe parami na rok 1939 w Polsce — w Zakopanem. Inicjatywa więc i zabiegi P. Z. Ł. zostały uwieńczone powodzeniem. Znacznie ułatwiło

sytuację Zakopiańskie Tow. Łyżwiarskie, które podjęło się organizacji zawodów i które, dzięki urządzanym corocznie od szeregu lat, zawodom, posiadało kontakt z wielu wybitnymi zawodnikami. Dla nich Zakopane było znane. I to znane z jaknajlepszej strony. Musimy tu otwarcie przyznać, że Międzynarodowa Federacja Łyżwiarska nie była wolna od obaw, nie będąc zupełnie pewna czy Polska sprosta tak poważnej imprezie. W miarę jednak postępowania organizacji mistrzostw obawy te zniknęły, a ostateczna organizacja zawodów, jak oświadczyli delegaci Federacji: generalny sekretarz sędzia Witt (Holandia) i dr. Sliwa (Czechosłowacja) przeszły ich oczekiwania.

Tegoroczne mistrzostwa Europy w Zakopanem obesłane były przez 9 par przy zgłoszeniu 10, co wobec zeszłorocznych 6 par w Opatowie świadczyło o istotnym zainteresowaniu. Nie zgłoszone zostały tylko dwie istotnie silne pary,

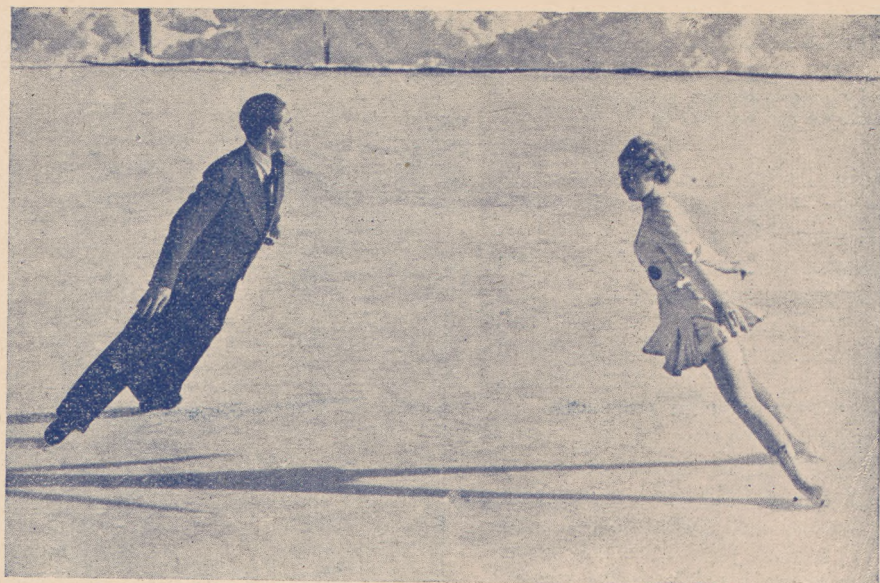


Maxie Herber i Ernst Baier mistrzowska para Europy i świata na treningu w Zakopanem



Olimpijska para Herber-Baier porywała zgromadzoną na mistrzostwach Europy w Zakopanem publiczność przepięknym stylem, niezwykłą harmonią ruchów i oszalamiającym tempem jazdy

a mianowicie pierwsza węgierska — rodzeństwa Szekryenyssy i angielska małżeństwo Cliff (co do których krążą wersje, iż wycofują się wogóle ze stawiania do zawodów). Dwie czołowe pary, walczące od pewnego czasu o tytuł mistrzowski, stanęły ponownie do walki w Zakopanem. Pierwsza to Maxie Herber-Ernest Baier (Berlin), druga rodzeństwo Pausin (Wiedeń). Rywalizacja tych dwóch par, to do pewnego stopnia rywalizacja dwóch kierunków. Pausinowie są wcieleniem płynności łyżwiarskiej, porywają urokiem swych póz, są wzorem lekkości i elegancji. To są cechy naczelną, ogólne. Oczywiście dokładność i świetność wykonania jest na takim poziomie, że istotnie tylko oni dziś mogą rywalizować z Herber-Baier i kusić się o odebranie im tytułu mistrzowskiego. Nie jest to łatwe. Ani — szczerze powiedzmy — przynajmniej na razie możliwe. Przyznaję otwarcie, że po obserwacji na treningu byłem zdecydowanym zwolennikiem jazdy Pausinów. Uważałem, że oni właśnie obrazują ducha i istotę



Rodzeństwo Pausin — wicemistrzowie Europy słyną z elegancji i pełnej wdzięku lekkości swych ewolucji. Wykonanie figury podwójnego Monda

sportu łyżwiarskiego, że ich płynność i uroczą lekkość, to właśnie jest wyraz łyżwiarstwa. Inaczej rzecz się miała na zawodach, gdyśmy ujrzeli parę Herber-Baier nie w jednym treningowym fragmencie, lecz w całości ich programu. Odrazu uzewnętrzniło się, że para Herber-Baier jest klasą sama dla siebie. Można twierdzić, że czem była w jeździe solowej Sonia Henie, tem stali się w jeździe parami Herber-Baier. Sonia, poza świetnością wykonania, wniosła dwie wartości: planowość programu i tę niepokonaną dotąd lekkość i urok, które ją wyróżniały z pomiędzy najświetniejszych, najstaranniejszych i najgroźniejszych zawodniczek.

Herber-Baier wystąpili w jeździe figurowej z programem, stanowiącym ich własny, nowy styl.



Rodzeństwo Pausin
w figurze końcowej
(Zdjęcie z lewej)

Wice-burmistrz Zakopanego, wice-prezes Towarzystwa Łyżw. Zakopiańskiego plk. Adamczyk i prezes Tow. p. Jamont, nieustrudzeni organizatorzy mistrzostw Europy w Zakopanem
(Zdjęcie z prawej)



piękna i wymagający niezwyklej sprawności, to pierwsza ogólna cecha jazdy Herber-Baier. A samo wykonanie? Stoi ono na szczycie doskonałości i precyzji. Technika i opracowanie nadzwyczajne. Ci zawodnicy stanowią jedność wprost niebывałą. Każdy ruch głowy, nachylenie głowy czy całego ciała, wszystko to nacechowane jest precyzją i dokładnością nie chybiającą na milimetr prawie. Pomimo, że widoczne jest, że ta precyzja osiągnięta została wielką pracą i treningiem, niema w niej maszynowości, chroni ją



Para Koch-Noack — trzecia para w mistrzostwach Europy pełna temperamentu, dokładności i siły

przed tym zarzutem niezwyklej gracją wykonania, wielka rozmaitość póz i gestów pięknych, a pozbawionych sztuczności. Niezwykła wiotkość Maxie Herber przestacza każdą jej pozę w poezję ruchu, a swoboda, z jaką ją prowadzi i porywa w tempo swych fi-

gur Baier zdają się świadczyć, że łyżwy i lód, to ich żywioł. Można by sobie zadać pytanie: czy oni bez łyżew potrafia chodzić? W jeździe ich mieści się również niezaprzeczona duma siły ludzkiej, która tak harmonijnie potrafiła się zjednoczyć ze zręcznością i elegancją, stwarzając prawdziwe piękno. Jeśli dodamy, że cały ten program wykonany jest w szalonym tempie, że brawura i precyzja przy pozornie drobnych, a często najtrudniejszych pozycjach rywalizują ze sobą — to będziemy mieli w przybliżeniu obraz jazdy

tych, którzy zasłużenie zdobyli mistrzostwa Europy na rok 1939, a którzy niewątpliwie za tydzień zdobędą w Budapeszcie mistrzostwa świata.

Drugie miejsce zdobyli rodzeństwo Pausinowie. Jazda ich to też szczyt doskonałości. Niema jed-



Mistrzowska para Herber-Baier w towarzystwie sędziego Szalaya, który dzień lat temu posiadał mistrzostwo Europy w jeździe parami

(Zdjęcie z lewej)

Polska para Stefanja i Erwin Kalusowie zdobyła piąte miejsce po zaciętej i pięknej walce

(Zdjęcie z prawej)



Jedna z pięknych ewolucji rodzeństwa Pausin

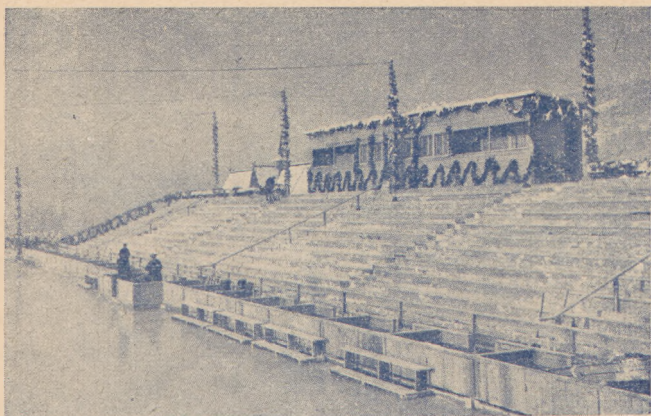
nak ich występ takiej zwartości jak jazda Herber-Baier, niema w niej równej tamtym konstrukcji, więc choć jesteśmy pod urokiem tej zwiewnej pary uosabiającej elegancję, wdzięk i lekkość, musimy jednak parze berlińskiej przyznać pierwszeństwo.

Trzecie miejsce zdobyła druga para niemiecka Inge Koch-Günter Noack, para ta jeździ już stylem Baiera. Cechuje ją wielki impet. Staranne opracowanie programu, dokładność wzorowa i siła. Minusem tej pary jest pewna sztywność łyżwiarki. Noack ma w sobie brawurę, humor i porywającą wesołość. Para ta jest groźną rywalką w obecnej konfiguracji państwowej dla Pausinów.

Piękna węgierka, Eryka Bass i Baresa Rotter zdobyli czwarte miejsce. Co do tego punktu mamy zastrzeżenia. Jechali dobrze. Jechali ładnie. Ale jechali słabiej niż polska para. Podobno węgry byli dotąd zawsze lepsi od Kalu-

sów. Być może. W Zakopanem mieli łatwiejszy program i byli słabsi. Może tylko tym razem — trudno — decydował ten właśnie dzień. A tego dnia Kalusowie byli lepsi. Tu musimy z zadowoleniem podkreślić, że ten start Kalusów w Mistrzostwach Europy był bardzo udany. Zrobili oni wielkie postępy. Jazda ich nabrała pewności i siły. Tempo było dobre. Wykonanie staranne, równe i bezbłędne. Niektóre figury wypadły doskonale. Znaczne podniesienie się poziomu jazdy i elegancji wskazuje, że para polska ma przed sobą istotnie duże możliwości. Pewnym jednak minusem jest niejaka sztywność niektórych póz — jeśli jednak zważymy fatalne warunki treningowe w Polsce, nawet dla Kalusów mieszkających w Katowicach, to z tem większą radoś-





Ogólny widok toru i trybun w Zakopanem



Siostry Dąbrowskie, W. T. Ł., utalentowane i rojące duże nadzieje łyżwiarki warszawskie

cią notujemy widoczny postęp. Do pewnego stopnia minusem jest również program niezbyt skoordynowany i nieposiadający naczelnej linii przewodniej. Trzeba mieć nadzieję, że P. Z. Ł. zwróci jednak uwagę na ten brak i zajmie się po tym pierwszym sukcesie intensywniejszym nadal rozwojem talentu sympatycznego rodzeństwa.

Pozostałe pary, za wyjątkiem Graetz-Weiss, to pary względnie surowe i nierówne. Dobrze zapowiada się para rumuńska Guber-Heuchert; handicapem dla nich był późny przyjazd na dwie godziny przed startem i to przyjazd z perypetjami, samochodem z Krakowa wobec spóźnienia pociągu.

W parze jugosłowiańskiej rokuje duże nadzieje Silva Palme, która ma wdzięk, lekkość i duże zacięcie. Po zmianie partnera może być doskonałym nabytkiem w każdej innej parze.

Ileana Moldovan i Ferraru zamykali ten wybitny i liczny zespół. Tu znowu partner zdecydowanie góruje.

Na zakończenie trzeba podkreślić świetną organizację Miistrzostw. Wszystko było przewi-



Maxie Herber w 1933 roku jako trzynastoletnia dziewczynka zdobyła poraż pierwszy tytuł mistrzowski

dziane starannie, szło więc jak w zegarku! żadnych zahaczeń. Zakopiańskie Tow. Łyżwiarskie ze swym niezmiennym prezesem Jamontem zdążyło do egzamin. Sportowo opracowało wszystko świetnie. Organizacyjnie wzorowo. Nic dziwnego, że zawodnicy, sędziowie i kierownicy drużyn byli zachwyceni i wyrażali prywatnie i oficjalnie swe uznanie, podziw i zadowolenie. Uroczystości zakończyło rozdanie nagród, podczas którego przemówienia wygłosili: prezes P.Z.Ł. red. Leon Chrzanowski po francusku i po polsku, wiceprezes P.Z.Ł. gen. Witkowski po niemiecku i po polsku, prezes Z. T. Ł. — Jamont po polsku i burmistrz Zakopanego dr. Zaczynski po polsku i niemiecku. Odpowiadali w imieniu Międzynarodowej Federacji dr. Sliva i w imieniu niemieckiego związku dr. Fechner. Obaj mówcy zagraniczni podkreślili świetność organizacji, dyscyplinę niemal wojskową w przeprowadzeniu zawodów i punktualność sportową. Wspólny bankiet i wesoła zabawa zakończyły pierwsze Miistrzostwa Łyżwiarskie w Polsce.

Old Boy.



Węgierska para Eryka Bass i Barcsa Rotter pilnie trenowali w Zakopanem



Węgierski sędzia Szalay trenuje pannę Bass

C Z T E R Y F A N T Y

(Groteska)

(Ilustracje Małgorzaty Wajchówny)

— Może byśmy przeszli na werandę? — zaproponowała pani Irena, szeroko otwierając szklane drzwi. — Cudowna gwiazdzista noc.

— Tylko weź szal, Irenko—tro skliwie upominał pan Leon.

Trzej goście dopili herbatę i poszli za gospodarzami na werandę. Długi a wąski pan Leon stał oparty łokciami o balustradę i wpatrywał się w Marsa, różowo płonącego niewysoko nad południowym widnokresem.

— Nieprzeparty, czarem urzeka mnie zawsze ta planeta — mówił. — Największy z jej rzekomych kanałów jest trzydzieści kilometrów szeroki. Czy podobna, żeby to było dzieło istot rozumnych?

— Nie — rozstrzygnął doktor Radziej — nie podobna. Pięć kilometrów, niechby sześć — to jeszcze; ale trzydzieści — nie.

Pan Turkiewicz zapytał z cicha pęk:

— Taki szeroki kanał mogły zbudować tylko istoty głupie?

Doktora nużył ten rodzaj humoru. Wyjaśnił cokolwieczek krewko:

— Miałem na myśli dzieło przypadku, ślepych sił natury.

— Siła ślepa krzywiej by to zrobiła. Marsowe kanały mają być zdumiewająco prostolinijne — rzekł niezrażony Turkiewicz.

Z niebieskich swarów ku ziemskiej zgodzie przywołała ich pani Irena:

— Kto mi pożyczy ołówka? (Radziej podał jej złoty ołówek). Dziękuję. Leonie, poświeć mi latarką, bo ciemno choć oko wykół.

Znowu ten Turewicz!

— Obawiam się, że i wyklucie oka nie zastąpi latarki—powiada.

— I byłaby szkoda, gdyż oko piękne! — zadudnił inżynier Jędrzyński z zakalcowatą galanterją. Nagrodzono go oklaskami.

Młoda pani domu pisała coś na karteczkach. — Niech mi każdy z panów da jakiś fant; wrzucimy je razem z kartkami do koszyczka, poczem ich właściciele będą musieli spełnić wyznaczone zadania. Siebie zwalniam. Zaczynamy! Czyj to notesik? Doktora Radzieja? Ma nam pan doktor opowiedzieć



o jakimś szczególnie jaskrawym nietakcie.

Lekarz jęknął:

— O me miserum! Największy nietakt popełnia pani, każąc człowiekowi nieśmiało zabierać głos publicznie. Szczęście, że jest ciemno i nikt nie dojrzy mych rumieńców. O czym by tu...?

— Niech pan zda sprawę z której z moich gaff — ofiarował się Turkiewicz. — Będzie to słuszną karą za moje niedowcipne dowcipy.

— Nie; opowiem państwu o swym młodym przyjacielu i pacjencie, Tadeuszu. Uprzedzam, że nie jest on autorem, lecz ofiarą „w mowie będącego“ nietaktu. Cudak z tego Tadzia! Mieszka na kolonji Słowackiego, ma domeczek, ogródeczek, żonę i bzik. Bzik polega na egzaltowanej miłości do piękna w ogóle, do kwiatów w szczególności — dorobił sobie całą teorję. Ja także lubię ładne kwiaty, ale w granicach rozsądku; metafizyki zaś nie znoszę. Bo jakże to zwykle bywa? Najpierw filozof przekonywa nas usilnie, że nie wiemy nic zgoła, a potem my się z kolei przekonujemy, że i on również nic nie wie: oto i cały zysk. Zresztą muszę przyznać, że u Tadeusza wszystko się nieźle trzyma kupy.

Tej wiosny pani Tadeuszowa na kilka tygodni wyjechała do rodzi-

ców, a wiedząc, że jest dosyć niezaradny, prosiła niejaką pannę Genowefę i mnie, byśmy go czasem odwiedzili i sprawdzili, czy mu czego nie brak. Bo trzeba państwu wiedzieć, że biedaczysko Tadeusz zostawił lewą nogę na jednym z pobojuwisk i ma dziś zamiast niej protezę oraz Virtuti Militari.

Przychodzimy do niego którejś niedzieli. Widzę, że chce mi coś powiedzieć — a tu panna Genowefa zaczyna przytaczać mnóstwo rzeczowników, opatrując je przymiotnikami, ożywiając czasownikami wiążąc spójnikami, tylko treści żadnej nie dodając. Kiedy się zakrztusiła, Tadzio (mówię przenośnie) wsunął stopę w uchylone drzwi i nie dał im się zatrząsnąć.

— Coś państwu pokażę, mówi, i ciągnie nas do ogródka. Przed szpalerem bżów zatrzymał się, obrócił do nas, położył polec na ustach i zrobił tajemniczą minę; następnie rozsunął krzaki i kiwa, żebyśmy cicho szli za nim. Sądziłem, że tam śpi płochliwa sarna, lecz zamiast tego ujrzałem tylko jakiś klombik ze sterczącym po środku wysokim kijem.

— Widzicie? — pyta nas Tadeusz. — Daliśmy oczekiwaną odpowiedź.

— I nic?

— A no nic, powiadam.

Tadzio roześmiał się sarkastycznie:

— Od razu widać, że się nie znać na ogrodnictwie kwiatowym! Przecież ten sztam to —

Panna Genowefa opowiedziała nam pośpiesznie, że jej ciotka bardzo lubiła azalie i rasowy drób.

— Ten sztam to... to... to... — Zawiesił głos, potem wypalił tryumfalnie: — To M a r é c h a l N i e l!

— To twój kijek nosi takie dźwięczne nazwisko? — powiadam. Wobec tego muszę i swój parasol jakoś tak ochrzcić!

Żart jak żart, lecz on się uniósł i dalejże nam prawić, że to najcudniejsza róża w świecie, delikatniejsza niż motyl: trochę za dużo lub za mało wilgoci, trochę za wiele cienia czy słońca — już ginie. Ale za to jeśli zakwitnie!... Kształt

wydłużonego jajka, nigdy się nie rozczapierza ordynarnie, kolor złota i śmietanki, woń najrozkośniejszych perfum, słowem — skonkretyzowana idea Piękna. A witka, na której się to cacko kołysze, zwisa łukowato, niby gałązka wierzby płaczącej nad leśnym jeziorkiem.

— Co to jest Dobro? — perorował. — To, co jest tak, jak być powinno. A Prawda? Wiedza wolna od sprzeczności. Piękno zaś jest jakby małżeństwem tych dwu najwznioślejszych idei. Mając przed sobą prawdę, powiadam: jest tak; mając dobro, mówię: o to jest to, co potrzeba. Lecz na widok piękna raduję się: jak to dobrze, iż prawda jest właśnie taka! Aprobuję, zatwierdzam, daję swoje placet: niech tak będzie nawet w wieczności, bo tu został osiągnięty pewien ideał. Jeżeli w Niebie są róże, to niechaj kwitną tak jak Maréchal Niel!

Nie zgłosiłem sprzeciwu, nadmieniałem tylko, że na mnie już pora. Tadeusz nie słuchał.

— Widzicie ten maleńki pączek? Drzę, żeby nie odpadł. Dam państwu znać telefonicznie, czy się trzyma. A jeżeli zakwitnie, sprawię mu solenne urodziny i was zaproszę. Bardzo kocham żonę, ale dalibóg nie żałuję, że wyjechała: wolę wprzód samolubnie nacieszyć się tym kwiatem. Wyobrażam sobie: ...Świt pogodnego dnia. Wstaje, idę do ogródka. Rozchylam bzy. Słońce lipowym miodem leży na młodych ząbkowanych listeczkach; kropelki rosy wahają się, czy mają spaść, czy jeszcze chwilę pobłyszczeć w świetle. A nad tem wszystkiem — noworozkwitły cud, królowna kwiatów: żółta róża... Zetnę długą gałązkę, zaniosę do domu. Mam na biurku taką czarną amforę. W czarnej amforze złoty kwiat, koralowe kolce, drobne zielone listki — —

— Tak, tak, rzekłem. To prawda. No, do widzenia.

Po kilku dniach telefonuje do mnie ten opętaniec:

— Wszystko dobrze. Rozwija się pomyślnie.

— Kto?

— Maréchal Niel.

— To zawiadomże o tem natychmiast pannę Genowefę! — mówię dla kawału.

— Zgoda. Ale jeśli zaczniesz coś opowiadać, to mi się telefon zepsuje, dobrze?

Przyzwoliłem.

(— Hohoho! — ucieszył się Ję-

dźwił. — Porządnie widać wjłaś jomu w peczynki!

— Co proszę? — spytał Rataj, nie znający ruskiego.

— Dała mu się we znaki — spolszczył p. Leon).

No i nadszedł ten dzień uroczysty! — La grande nouvelle! — powiadam Genowefie przez telefon. — Miałem od tego warjata Tadeusza wiadomość, że mu róża zakwitła. Trudno, trzeba go odwiedzić. Zaniosę mu wermutu.

— A ja przyjdę zaraz po panu doktorze, także z niespodzianką. He.

Wprawdzie powiedziała „chcę“, a nie „he“, lecz ja wolałem wziąć to za końcowe chrząknięcie, niż za początek zdania.

Idę więc do swego przyjaciela. Na biurku czarny wazon z żółtą różą, przed biurkiem rozanielony Tadzio. I znowu metafizyka — oj, słabo mi. Raptem wpada Genowefa i do tegoż wazonu wtłacza jeszcze piętnaście róż, wcale pospolitych. Tamta żółta znikła wśród nich bez śladu. Mogą sobie państwo wyobrazić reakcję biednego Tadeusza. Zbladł, zacisnął zęby, wreszcie syknął:

— Dziękuję.

Tak, to chyba największy nieakt, jakiego byłem świadkiem. Z cudu, z tajemnicy, z wyjątku — zrobiła znikomą jednostkę w powszednim tłumie. Tadzio długo knuł zemstę i czekał sposobności, aż się w końcu doczekał. Kiedyś panna Genowefa wlatuje do nich jak piorun, zamyka wszystkie drzwi, każe przysiąc na wszystkie świętości, że nikomu nie powtórzą i nareszcie rzuca swą bombę: pani taka a taka romansuje z szoferem! Wówczas Tadeusz mrugnął do żony i oświadcza z doskonałą obojętnością, że od roku wie już o tem od samego szofera.

— Hohoho! — roległ się znowu bas Jędźwiłła. — Przepadł efekt, jak korowa jazykom złyzała.

— Co proszę? — spytał Radziej, nie znający ruskiego.

— Jak gdyby go krowa zlizwała językiem — przetłumaczył pan Leon.

Z ciemnymi okularami w lewej ręce, z karteczką w prawej, pani Irena rozkazała:

— Teraz pan Turkiewicz musi nam opowiedzieć o jakimś szczególnie złym postępku.

Turkiewicz zaskrzypiał po swojemu:

— O to na świecie nietrudno, jest w czem przebierać. Ale brzydzę się egotyzmem, wolę przyto-

czyć czyjś niegodziwy uczynek, a nie własny. Będę więc mówił o Witulskim.

Rodzice moi mieszkali na wsi, mnie zaś oddali do szkół w Krakowie. Na stacji zamieszkałem z jakimś Witulskim, o rok starszym odemnie. Nicpoń to był nad nicponie, młodociane monstrum, skończony sadysta, który jako cel główny wytknął sobie zatruwanie mi życia na wszelkie sposoby. Spenetrowawszy niebawem, że mięknie mam serce, począł pastwić się przy mnie nad ptakami i psami, pracowicie obmyślając dla nich wyrafinowane tortury. Skąd się takie djabły biorą w przyzwoitych rodzinach?... Głupi byłem, wstydziłem się napisać do rodziców, żeby mnie przenieśli gdzie indziej. Zresztą niewiele by to pomogło, boć i tak uczęszczaliśmy do jednej szkoły.

Jedyną osłodą była mi — hm, no tak — pierwsza miłość. Co niedziela chodziłem do dalekich krewnych matki. Mieli córeczkę. Hela była moją rówieśnicą, a poza tem i bez przesady: aniołkiem. Hm. Gdyby nie okoliczność, że noc naprawdę bardzo ładna, nastrój zaś u państwa miły i przyjazny, zapewne wolałbym o niej nie wspominać... Więc takie to były sprawy.

Naturalną rzeczą kolejną Witulski dowiedział się o tych moich afektach i zaczął się nad nimi znęcać. Naturalną rzeczą kolejną dostałem ataku furji. Wynikła grubsza bójka, po której mój koleżka stał się dla mnie trochę względniejszy, gorliwie się natomiast trudniąc prześladowaniem niewidomych i grubasów.

Lata biegły (teraz idą, ale wtedy biegły) i moje warunki tak się złożyły, że na uniwersytet wstąpiłem we Lwowie. Witulskiego straciłem z oczu zupełnie, a do Krakowa jeździłem w czasie studjów tylko raz, w pewnej sprawie prywatnej. Słowem, hm — oświadczyć się Heli. Okazało się, że mnie lubi i tym podobne, ale —

Wróciłem więc do Lwowa, gdzie też po ukończeniu prawa dostałem — pozał się Boże — posadę. Taką sobie głodnąwą posadkę. Kiedyś wieczorkiem w pierwszych dniach maja idę ulicą, a naprzeciw kroczy jakiś elegant, aż luna od niego bije. Witulsio. Rzuca się na mnie, ściska, serdeczny jak sto par djabłów. „Kochany chłopcysiu, kopa lat, pamiętasz nasze dziecięce niesnaski?“, — ale w tem wszystkim coś nieszczerzego, niesympatycznego. „Kolację dziś jesz

u nas. żadnych wykrętów! Ponieważ nie uprzedziłem żony, więc zaraz wstąpimy gdzie i kupimy żarcia". Dosłownie siłą wciągnął mnie do handelku i zaczął kupować sardynki, sery, zimne kurczęta, sałatę, truskawki (w początku maja!). Moje miesięczne pobory nie wystarczyłyby na zapłacenie tego wszystkiego.

Z wielkim wstydem muszę się przyznać: jestem łakomy jak francuz. Czułem do Witulskiego taką awersję, że z pewnością byłbym mu drapnął, gdyby nie te sałaty i delikatesy...

Gdyśmy przyszedli, zaprowadził mnie do gabinetu, a sam znikł na parę minut, po czym wraca i powiada:

— Wybacz, mój drogi, ale kucharka wyszła na cały wieczór i żona musi sama zająć się kolacją.

Po pewnym czasie służący zameldował, że pani prosi do stołu. Idziemy do jadalni i — zrozumiałem od razu powód gościnności

łem ich na zawsze. I do dziś dnia nie umiem sobie wytłumaczyć, jak mogła Hela — Hela! — popełnić takie, *passez-moi l'expression*, świństwo.

Ujął ją za nią pani Irena:

— A może ona go naprawdę kochała?

— Kogo, pani Ireno?

— Tego pańskiego przyjaciela czy wroga czy jak go nazwać.

— Możliwe — rzekł Turkiewicz z głupią frant — ale cóż stąd? Czy najgorętsza choćby miłość dawała jej prawo zaprzepaścić rozkoszną nowalję mieszaniną oliwy i śmietany? Brr, była to ohyda przechodząca ludzkie pojęcie, obmierzła od rycyny, od grysiku na słodko, od owsianego kisielu. Biedny Witulski!

I z wibrującym oburzeniem w głosie, z bezdźwięcznym a wnętrzości mu rozsadzającym śmiechem, pan Turkiewicz poprosił o zapalną do papierosa. Jeden z je-



zaczego Witulskiego: panią Witulską była Helena... Nie tylko ja zgłupiałem.

Przy kolacji toczyła się niesłychanie ożywiona rozmowa, przy czym jednak uprzejmi państwo domowi nie zapominali podsuwać mi tych sardynek, kurcząt, własnoręcznie przez gospozię przyprawionej sałaty z octem, oliwą, cukrem, koperkiem i śmietaną. Więc już nic nie jadłem, nawet truskawek nie tknąłem.

Posiedziałem jeszcze z godzinę, i przyrzekając Witulskiemu być u nich częstym gościem, pożegna-

łem przyjaciół, zwolennik medycyny tybetańskiej, twierdził zawsze, że to właśnie ta nieuzewnętrzniana, wypierana do brzucha wesołość powoduje u pana Turkiewicza katar żołądka. Czy ja wiem? Nie, nie wiem.

— Uwaga! — rzekła p. Irena. — Na chusteczce inicjały M. J., na karteczce „Najszczęśliwszy dzień mego życia“.

— Oj! stęknął inżynier. — Nie można się wykupić ofiarą na LOPP? Nieszczęsny ja człowiek. Dajcież mi przynajmniej parę minut do namysłu.

Pan Leon rzekł przymilnie:

— Irenko, wiadomo i tak, że ostatni fant jest mój; więc powiedz mi z góry, jaki będzie mój temat, żebym mógł coś przygotować.

— „Mój najgłębszy postępek“.

— Odpowiedź będzie zwięzła: przyjdzie na świat.

Doktor Radziej zapytał rzeczowo:

— Taki z pana pesymista?

— Tylko na pokaz — uspokoił go Leon.

Niby dzwony ławry Poczańskiej, jęły się toczyć głębokie tony Jędźwiła:

— Nadrzędny. Strasznie podoba się mnie wyraz „nadrzędny“, i miałem nadzieję, że można go będzie użyć w moim opowiadaniu; ale zdaje się, że nie zajdzie okazja. No, mniejsza z tem. A ten mój najszcześniejszy dzień w życiu to się wydarzył nie bardzo w dzień, to jednak chyba wszystko jedno, prawda?

Muszę się przyznać, że ja w młodości byłem mocno nieobojętny na, tego, na wdzięki niewieście...

— Miałeś w młodości dziedziczny złoty zegarek — wtrącił Turkiewicz. — Gdzie on jest teraz?

— A ot tu — prostodusznie pokazał inżynier, nie dostrzegając podstępów.

— Tak, ja wiem, że ty go masz dotąd.

Teraz Jędźwiłł zrozumiał i roześmiał się hucznie.

— A, dowcipniś jesteś, filut! Ha, „dotąd“ nie „dotąd“, ale wtedy był grzech, nie ma co taić. Nie tak, żeby zaraz coś takiego, ale, wiecie państwo, tak na sentymentalno: wierszyki popisać, pod okienkiem powzdychać, pod rączkę przy księżycu pochodzić... Bo to nic, że ja trzydzieści lat przeżyłem w Małorosji — —

— Niech pan mówi: na Ukrainie — prosił Leon.

— A niech sobie będzie, w gruncie rzeczy to ja jestem taki czuły, miękko sercy Litwin. I w tem bieda, że mnie coraz podobała się inna — żadnej, wiecie państwo, stałości. Polka to Polka, Rosjanka to Rosjanka, albo Ukrainka; ot tylko do żydówek to jakoś nie — diabli jego wiedzą, przepraszam za wyrażenie, dlaczego.

Pracowałem ja na browarze w powiatowym mieście K. Ot kiedyś przysyłają nam nowego burmistrza — u nich nazywało się „głowa miasta“. Nielubow miał nazwisko, i zjechał ze swoją żoną. Jak ja tę żonę pierwszy raz zo-

baczyłem w teatrze, to mnie jakby kto szalejem napoił. No po prostu języka w gębie zapomniałem, stoję i patrzę jak ten durny. Boż i była kobieta, niech się nie znam! Takie kasztanowate włosy, co to tylko Rosjanki miewają, a w nich jakieś miedziane iskielki; cera białoróżowa, błękitne oczy na pół twarzy — no, słowem, niech Bóg broni!

Zauważyła pewnie ona, jakie wrażenie wywarła, bo nazajutrz siedzę ja u siebie w kancelarji na browarze, a tu przychodzą do mnie i mówią, że przyjechała pani burmistrzowa, chciałaby obejrzeć fabrykę, zapytuje, czy ja pozwolę. Ja myślę, że pozwolę! Wylatuję na ulicę, a ta pani Nielubow wysiada z powozu i prosi bardzo grzecznie, żebym ją oprowadził. Zacząłem ją oprowadzać, a sam jak pijany. Na pożegnanie mówi ona do mnie, i to jeszcze z wielkiej grzeczności po polsku:

— Dziękuję panu najserdeczniej. Byłoby nam bardzo miło, gdyby pan inżynier zechciał nas odwiedzić, ot chociażby jutro o dziesiątej wieczór. Szkoda tylko, że mąż wyjechał na kilka dni; ale to nic, pozna go pan kiedy indziej.

No, no! Jak ja doszedłem do domu, to już nie pamiętam. Na drugi dzień — nieszczęście. Póki jeszcze w browarze, to pół biedy, ale jak wróciłem do domu, to literalnie miejsca sobie nie znajdowałem. Mnie się wydaje, że to już ósma, a to dopiero czwarta; ja myślę, że upłynęła godzina, a upłynęła minuta. Co tu robić! Tylko patrzeć raz po raz na zegarek i

radę sobie dać nie mogę. Dobiedowałem jakoś do ósmej, ale nareszcie myślę:

— No nie, bracie, tak nie można, jeszcze kręćka dostaniesz i przepadł człowiek nie wiadomo za co i na co. Trzeba koniecznie myśleć czemś zająć.

A rzecz była taka. Wszędzie tam, gdzie się ma do czynienia z alkoholem, używa się tak zwanego wzoru fermentacyjnego Ballinga. Kobyła to straszna; dajcie latakę, to ją wam wypiszę. O, patrzcie:

$$E = \frac{e + 2,001085 A}{e + 0,001085 A}$$

Duże E znaczy ekstrakt pierwotny, małe e — ekstrakt końcowy, duże zaś A — alkohol. I za każdym razem, za każdziuteńkim razem, trzeba przerachowywać tę straszliwą machinę. Wprawmemu specjaliście zajmuje to dobry kwadrans. I cóż za nuda piekielna — zawsze to samo w kółko. Więc mnie oddawna korciło czyby nie można tego jakoś uprościć. Szczególniej złościło mnie, że przecież cztery pierwsze cyfry po przecinku przedstawiają bardzo drobną wartość. Świtała mi pewna myśl, lecz ani rusz nie mogłem jej uchwycić.

Otóż teraz, dla zabicia czasu, zasiadłem znowu do tego Ballinga.

Kręcę go na wszystkie strony, przypominam sobie prześliski dawniejszych moich pomysłów, przekształcam, i nagle — w imię Ojca i Syna!... Sen czy jawa? Szkoda, że nie mogę wam tu szczegółowo wszystkiego wytłumaczyć, dość, że w końcu tamta kobyła przekształca mi się w taką oto ślicznotkę: $E = e + 2A - kA$, gdzie k znajduje się z bardzo prostej tabliczki, którą łatwo zapamiętać.

Wprost oczom nie wierzę. Zaczynam próbować — zgadza się cudownie! W najbardziej niekorzystnych okolicznościach, różnica wyraża się zaledwie w stutysięcznych ułamkach! Nie, czekajcie, muszę wam to pokazać...

Pani Irena zwróciła się do niego błagalnie:

— Ależ panie inżynierze, pojęcia nie mamy o matematyce, dla nas te wszystkie wzory nie znaczą nic zgoła. Wierzmy panu na słowo.

— Zgaście mu latakę, inaczej nie przestanie — poradził Turkiewicz.

Jędźwiłł ciągnął dalej w uniesieniu:

— Jak to opowiem w browarze

— myślę sobie — to zrazu nikt nie uwierzy. A ja im powiem: No dobrze, rachujcie sobie na papierze, a ja tymczasem w umyśle wyliczę to wam równo dziesięć razy prędzej. Zgłupieją ludzie z kretelem. Ach, moi państwo, matematyka to boska nauka, z niczem nieporównana! Ot pan Radziej opowiadał o tej różnicy mareszalu: oczywiście, ładna rzecz, ale zawsze zielsko; a tu — najczystszy owoc ludzkiego rozumu najwspanialsza —

— O której pan skończył te rachunki? — grzecznie zapytał dr. Radziej.

— Ot w tem sęk! Ja myślałem, że przesiadział godzinę najwyżej, a pokazało się, że to czwarta rano. No, ma się rozumieć, z panią Nielubow — kaput. Jak na drugi dzień przyszedłem, nie przyjęła mnie i w ogóle już mnie znać nie chciała. Ale co tam! Ładna była bo ładna, lecz pięknych kobiet jest na świecie dwadzieścia pięć milionów, a taka formułka! — Ej, szkoda, że nie możecie państwo dobrze tego zrozumieć!...

— A więc, mężu mój i panie, najgłupszy postępek twego życia. Spodziewam się, że nie jest nim małżeństwo ze mną.

— Ależ nie, ależ nie, Irenko, skądże. To, co zamierzam opowiedzieć, wydarzyło się jeszcze za moich kawalerskich czasów.

— Odetchnęłam z ulgą. A że się trochę domyślałam, o czym będzie mowa, więc na chwilę pójdę zobaczyć, czy dzieci śpią spokojnie.

Leon usiadł na balustradzie, i zaczął:

— Moja opowieść będzie nieciekawa, bez pointe'y, lecz za to krótka. Dziś jest moda potępiania w czambuł wszystkiego, co szlachetkie. Szlachetczyzna to dziś synonim zacofania, warcholstwa, anarchji, wszystkich grzechów śmiertelnych. Może kiedyś ta moda przeminie, może znów potrafimy się dopatrzyć i piękna i dobra i nawet mądrości w tym tak rdzennie polskim wytworze społecznym. Bądź co bądź, ja osobiście widzę tam dużo uroku. Niezbyt to wyrozumowane, lecz bardzo odczute. A już kwiatem kobiecości jest dla mnie tylko pan-na z polskiego dworu szlacheckiego.

Po ukończeniu politechniki odbywałem praktykę w cukrowni. Buraków dostarczali nam okoliczni ziemianie. O kilkanaście kilometrów od cukrowni znajdował się mająteczek pewnej wdowy.



Mądra to była kobieta, pracowita na podziw, ascetycznie surowa dla siebie, dobra i wyrozumiała dla innych. Pomagała jej córka, w której się oczywiście zakochałem — tylko głupiec lub ślepiec nie byłby się zakochał. Ładna była, ale doprawdy nie to stanowiło jej czar najważniejszy. Istnieje powieść amerykańskiego pisarza Jamesa pod tytułem *The grain*. Oto epitet w sam raz dla niej! Piękny owoc długiej kultury: rozum i subtelność, miła kokieteryja bez cienia pospolitości, słowem nie było dla niej określenia, które by nie było superlatywem. I miałem wrażenie, że ja także nie jestem jej przykry.

Kampanja skończyła się późną jesienią i trzeba było wracać do miasta. Któregoś dnia wziąłem na odwagę, ubrałem się w lepsze ubranie i uroczystą miną, dosiadałem konia i pojechałem oświadczyć się pannie. W saloniku zastałem nie tylko ją, lecz i okazałego młodziana, trzymającego ją

w objęciach. Ukłoniłem się sztywno, wyszedłem bez słowa, w cukrowni spakowałem manatki i wyjechałem do miasta.

To właśnie był ten najgłupszy postępek mego życia. Dowiedziałem się później, że młodzian jest jej bratem, szalał wilą, który dopiero co wrócił z Paryża, gdzie przejechał resztki swej części spadku po ojcu. A panna była rzeczywiście stworzona na idealną towarzyszkę życia.

— Wyszła za mąż? — chciałem wiedzieć dr. Radziej.

— O, tak. Za mnie. Napisała nazajutrz, że skoro ja się oświadczam, ona pierwsza mi się oświadcza.

— Skończyłeś swoje plotki? — zapytała pani Irena, wracając na werandę.

— Skończyłem. — I Leon z wielką czułością ucałował ją w rękę. Pan Turkiewicz powiedział eliptycznie.

— Szczęśliwe małżeństwo potwierdza regułę.



mm.

Książki nadesłane do Redakcji

EHRlich i TYROWICZ — „Wystawa sklepowa”. — Wyd. Państw. Książek Szkolnych. Lwów.

R. BALAWELDER. „Polska ma dostęp do morza”. Wyd. Michalak, Warszawa.

SCENA POLSKA — organ Związku Artystów Scen Polskich. Zeszyt 2 i 3 r. 1938.

ŚWIAT KSIĄŻKI

B. OLSZEWICZ. *Obraz Polski Dzisiejszej*. Uzupełnienia uwzględniające zmiany granic Rzeczypospolitej. Str. 16. Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa. 1939.

„Uzupełnienia” do książki B. Olszewicza „Obraz Polski Dzisiejszej” uwzględniają zmiany, jakie zaszły w Polsce w związku z przyłączeniem ziem polskich, które do października 1938 r. znajdowały się w granicach Czechosłowacji. W „Uzupełnieniu” podana jest szczegółowo nowa linja graniczna Rzeczypospolitej, stosunki narodowościowe na odzyskanym Śląsku Zaolzańskim, jego zasoby, produkcja, gospodarka rolna. Radosny fakt odzyskania Zaolzia został tu ujęty w cyfry, stając się w ten sposób realnym uzupełnieniem obrazu Polski w dzisiejszym.

MARJA ANKIEWCZOWA. *Racjonalne wychowanie dziecka do lat 7*. 35 ilustr. Okładka M. Puchalskiego. Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa, 1938.

Ukazała się druga z kolei książka z zapoczątkowanego przez wydawnictwo M. Arcta cyklu, poświęconego zdrowiu i wychowaniu dziecka.

„Racjonalne wychowanie dziecka do lat 7” to książka, jakiej oddawna nam brakowało. Porusza ona niezmiernie ważny odcinek życia rodzinnego — umiejętność współżycia z dzieckiem od pierwszych chwil jego pojawienia się na świecie, aż do pójścia do szkoły. Jest to okres najbardziej wytężonej pracy i starania ze strony matki, okres najtrudniejszy, zazwyczaj bardzo uciążliwy.

Książka powyższa daje szereg głęboko przemyślanych i praktycznych rad, jak zorganizować życie dziecka i rodziców w sposób harmonijny i dla obu stron korzystny. Prócz tego książka zawiera bardzo wiele praktycznych wskazówek dotyczących ubrania, odżywiania, spacerów dziecka, urządzenia jego pokoju, organizowania przyjęć dla dzieci i t. p.

Nie wątpimy, że młode matki z radością przyjmą tę pracę, która stanowi wynik wieloletniej pracy i doświadczenia autorki i jest jedyną, jak dotąd, tego rodzaju publikacją, opartą na zasadach naukowej organizacji pracy.

KAZIMIERA JEŻEWSKA — „Podanie o Piaście”. (Z cyklu „Teatr Polski żywej”). Wyd. Książnica-Atlas. Lwów—Warszawa.

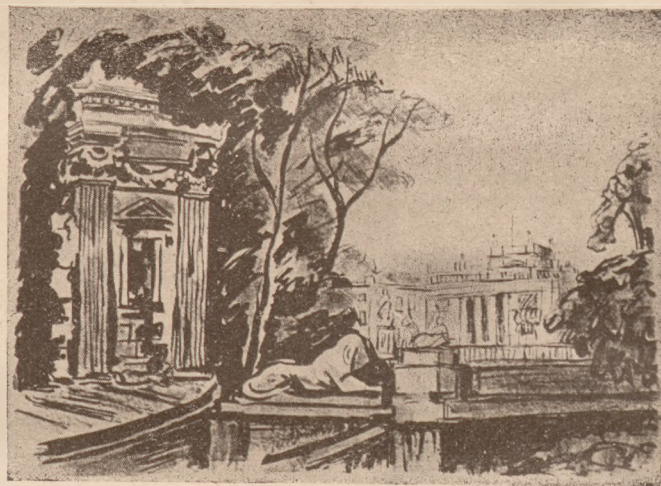
Z OSTATNICH WYSTAW



Edward Kokoszko Marszałek E. Śmigły Rydz
(Salon Zachęty)



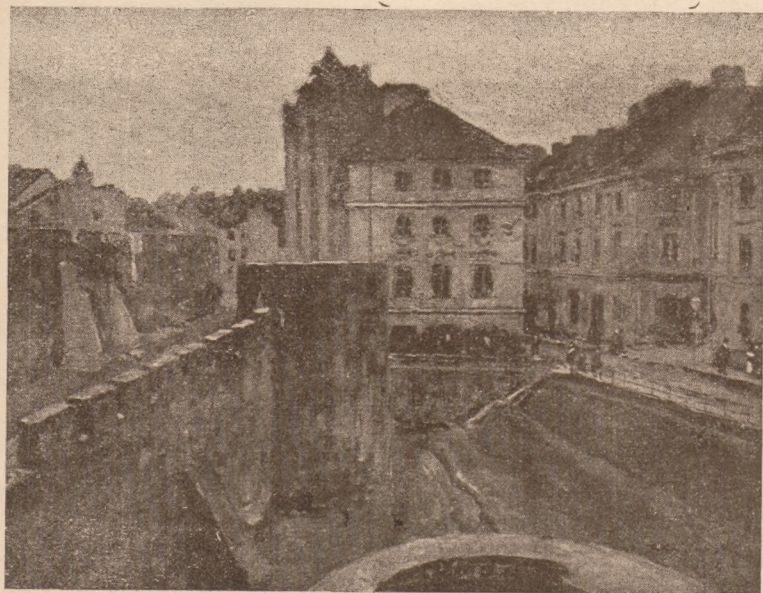
Edward Glowacki Portret Marszałka Piłsudskiego
(Salon Zachęty)



Józef Tom

Łazienki

(Instytut Prop. Sztuki)



Tadeusz Cieślowski

Mury starej Warszawy

(Salon Zachęty)



Czajkowski Stanisław

Z Puszczy Kurpiowskiej

(Salon Zachęty)

DZIEJE TEATRU W POLSCE

Dużo w tem leży zasługi Kurpińskiego, który był w ciągłej korespondencji z całym ówczesnym światem muzycznym. Słyszymy więc wszystkie znakomitości od Pani Schioli sławnego sopranu (Semiramis) zacząwszy, aż do niezrównanej panny Sonntag, istnego fenomenu, zwanego wtedy ósmym cudem świata. O tych operach jak i o tych znakomitościach szeroko się będę rozpisywał w następnym artykule, „Vox populi“. I nasi artyści obierali sobie scenę Starego Teatru na arenę do popisu swych zdolności. Wielu z nich jaśniało następnie siłą swego talentu, na kartach historii, dość tu wymienić Dobrzyńskiego, a czem nieśmiertelną sławą okrył się ów Teatr, to trzema pierwszymi koncertami niezrównanego, niedoścignionego dotąd Chopina.

Mieli na Krasińskich jedną tylko i to jeszcze szczupłą scenę do rozporządzenia na wszystkie działy sztuk więc: operę, koncerta, balet, tragedje, melodramy i wodewile, a nadto jak w karnawale reduty z widowiskami potrójnymi, bo o 8, 10 i wpół do 12; to też wściekał się Kurpiński, gdy zjechał jaki p. I.ebesnier lub jemu podobny i na jakie parę tygodni zajął scenę na swoje mimiczno-plastyczne widowiska, ale cóż, nie było na to rady. Względy kasowe zawsze przeważały, zawsze trzeba było z nimi się liczyć; a publiczka żadna była nowości i wykupywała bilety.

Jak zaś wtedy trudno było dojść do jakiejś pozycji w Teatrze być niby „prorokiem między swymi“ to się wypowiedzieć nie da. Na tym punkcie niestety dotąd stoimy, przez setkę blisko lat jednego kroku naprzód nie zrobiliśmy. Zresztą będziemy to później szczegółowo rozbierać. Jak wiemy z wątku ciągłego opowiadania iż dział muzyczny w ówczesnym Teatrze wyłącznie spoczywał w jednym ręku. Na tem stanowisku w Starym Teatrze przybił do portu Kurpiński, on uczył chóry, orkiestrę, artystów etc, dyrygował antraktami w tragedjach i dramatach, ba komedjach nawet wyższych, prowadził wodewille



Wnętrze Teatru Narodowego około 1792 roku

i melodramata, ale nadto jeszcze muzykę baletową, a że przez bardzo długi przeciąg czasu nie wolno było dać widowiska bez baletu, więc ten biedny męczennik nie miał wytchnienia.

A balety były wówczas także dość pokaźnie prezentowane jak np. „Nowy Narcyz“, „Flotrowers zaczarowany“ (pysznik balecik, który dotrwał do 1856 r.), „Powrót Wenery do Olimpu“, „Arlekin ogrodnikiem“, „Trzy Gracje“, „Kupiec obrazów“, „Żniwiarze“, „Zabawy tancerskie“, „Złota gałązka“ etc.

Więc powiedziałem wyżej, że muzyka stała wysoko w Starym Teatrze — niestety o dramacie tego powiedzieć nie mogę, gdyż aczkolwiek był on tam silnie zarysowany, ale nie wytrwał na swej wyżynie,

Dbajcie o swoje zdrowie!

Przy chorobach: ŻOŁĄDKA, KISZEK, WĄTROBY, przy KAMIENIACH ŻÓLCIOWYCH, WZDĘCIU BRZUCHA, ODBIJANIU SIĘ, LUB SKŁONNOŚCIACH DO ZAPARCIA, stosuje się: „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA“ Gąseckiego, naturalny, łagodny środek przeczyszczający, ułatwiający funkcje organów trawienia, stosowane również przy nadmiarze otyłości.

PROSZKI
MIGRENO-NEBOSZ

Kogutek

ZASTOSOWANIE:
**GRYPA, PRZEZIEBIENIE
BOLE GŁOWY, ZĘBÓW i t.p.**

Żądać oryginalnych proszków po m. fab. „KOGUTEK“
GASECKIEGO
tylko w opakowaniu higienicznym w **TOREBKACH**

Na Karmawal

**COGNAC
MARTEAU**

Z TEATRU KAMERALNEGO



Karnawałowa farsa „Dom Warjatów” cieszy się od dłuższego czasu dużym powodzeniem. Bezpretensjonalna, żywo i wesoło zmontowana, zagrana w tempie, błyskotliwie i z rzetelnym humorem — jest istotnie karnawałową rozrywką dla publiczności, która przez cały czas przedstawienia dosłownie płacze ze śmiechu. Oczywiście nie będziemy się tu doszukiwali głębi, albo Boże broń, „problemu”. Jedyńm problemem jest tutaj — dać inteligentnemu, wrażliwemu na komizm widzowi — porcję humoru w dobrym gatunku. Jeśli chodzi o założenie sztuki — można je streścić w kilku słowach. Mianowicie: ludzi normalnych właściwie niema na świecie; każdy ma jakiegoś małego biezka „na własny użytek” — o którym nie wie. I zależy tylko od kąta, pod jakim się na danego osobnika patrzy, żeby go z lekkim sercem umieścić... w domu warjatów.

Zagrano tę farsę dość niejednolicie. Prym trzyma bezsprzecznie Kwaskowski — doskonały. Dobre, różnorodne typy „warjatów” stworzyli: Różańska, Sielański, Ziemiński. Łoziński w roli młodego urwipolcia — naturalny i miły.

Na zdjęciu W. Łoziński i H. Karwowska.

mała, aż nareszcie pochłonięty niemal został przez fantastyczne bomby melodramatyczne w rodzaju osławionego „Chłopa milionowego”. Zanim reakcja nastąpiła, teatr na placu Krasińskich przestał istnieć.

Mówiłem wyżej iż działy pracy artystów dramatycznych tego teatru rozpadały się na tragedje, dramata z melodramatami i na wyższe komedje do których się czasem komedjo - opery wkradały. Repertuar tych działów był wyłączną własnością uprzywilejowanego Starego Teatru. Nie wolno go było ruszyć i nic z niego grać na scenie Rozmaitości. Tamtemu teatrowi zupełnie inny dział zostaławiono, taki którego wstydziłoby się produkować wielcy z Krasińskiego placu, czyli dział fars, krotoczwil, wodewili etc, z których tylko wyłącznie na użytek redut kilka zostawili.

No, ale przyjrzyjmy się nareszcie temu dorobkowi ostatnich lat Starego Teatru, więc tragedje: „Horacjusze”, „Pelopidowie” (Korzeniowskiego), „Machabeusze”, „Saul”, „Hamlet”, „Inez de Castro”, „Romeo i Julja” i inne. Melodramy i dramata „Precjoza” z cudną muzyką Webera „Klara z Hohenheim”, „Trzydzieści lat czyli życie szulera”, „Werter czyli obłąkanie czulego serca”, Amelja Mansfeld”, „Chłop milionowy” czyli dziewczica ze świata Czarownego”, „Mac Dowel czyli zbrodnia”, „Zoko”, „Teresa czyli sierota z Gandawy”, „Nienawieść ludzi i żal”, „Upiór”, „Indjanie w Anglii”, „Karol XII pod Benderem” i t. d.

Teraz komedje: — Bardzo naturalnie, iż tutaj pierwsze miejsce zajmuje nieśmiertelny Fredro, który właśnie w tej epoce zabłysł na firmamencie sztuki, więc: „Zręczność i przekora”, „Przyjaciele”, „Geldhab”, „Cudzoziemczyzna”, „Damy i huzary”, następnie idą: „Skąpiec” Moliera „Szkoła starców”, „Ketki”, „Pieniacze”, „Xiężna i paź”, „Melwina”, „Mąż nieboszczyk”, „Panny Romansowe”, „Nasze przebiegi”, „Pierwsza lepsza”, „Kto się kocha ten się klóci”, „Lektyka na sprzedaż”, „Szkoda wśów”, „Prosta droga najlepsza”, „Pustoty ulańskie”, „Powrót Stanisława żołnierza”, „Dobra pod Wiedniem”,

Wszyscy do walki



ze skutkami wadliwego odżywiania. Pokarm, ubogi w sole mineralne, sprzyja wadliwej przemianie materii i zmniejsza odporność na choroby. Organizmowi trzeba pomóc, doprowadzając brakujące sole. MINEROGEN F. F. jest odżywką uzupełniającą. Apteka Mazowiecka, Warszawa, Mazowiecka 10

Proszek od **BOLU GŁOWY**
DŁA DOPOMOCY JE JAK PRAK
KOWALSKINA
stosuje się również
PRZY PRZEZIEBIENIU GRYPIE I KATARZE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Nowy Świat 26. Telefon 5-04-00. Konto P. K. O. Nr. 3755

Lista rozrachunkowa urzędu pocztowego Nr. 39.

Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt, niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja we czwartki, piątki i soboty od godziny 10 — 13 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz.

11 — 1 pp. tylko po uprzednim porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów Redakcja nie zwraca.

WARUNKI PRENUMERATY: Odb. na miejscu miesięcznie zł. 5.—. Kw. zł. 13.50 gr., z odnosz. do domu mies. zł. 5.50 gr.

kw. zł. 15.—. Zamiejscowa mies. zł. 6.—, kw. zł. 16.20 gr. Zagraniczna mies. zł. 8.—, kw. zł. 21.60 gr.

Każdy prenumerator otrzymuje co miesiąc cenne premium książkowe wartości księgarskiej 5 do 6 zł.

„Rozbójnicy mimo wiedzy“, „Dwaj roztargnieni“, „Córka Faraona“, „Rendez-vous na przedmieściu“, „Walerja“, „Kasztelanowie na prędcie“, „Wykradzenie“, „Anglik czyli głupiec rozumny“, „Miłostki ulańskie“, „Pustoty Hiszpańskie“, „Usłużny Redaktor czyli Szarlatanizm“, „Pięć siostr a jedna“ etc.

Komedjo - opery: „Nienawiść kobiet“, „Moralisści“ i inne.

Teatr Rozmaitości trafem i zbiegiem fortunnnych okoliczności uformowany stał się wkrótce koniecznością niezbędną dla Dyrekcji i jednym ze źródeł ciągłego i niezawodnego dochodu, gdyż pomimo tak nędznego repertuaru jak już dalej nie idzie, bywał zawsze natłoczony, gdy na Krasińskich grano dramata a szczególnie komedje przed pustymi ławkami. Zepsuty gust publiczności żądał tylko pustego śmiechu lub błyszczącej świecidełkami wystawy; to też oblegano teatrzyk Rozmaitości, a matadory z placu musieli zrezygnować z tragedji i dramatu na korzyść szopek melodramatycznych.

Powiedziałem iż wybór sztuk Teatru Rozmaitości był niższym ponad wszelką krytykę, bo proszę posłuchać bodaj tytułów tych komedji: „Asinus asinum fricat“ czyli dwóch guwernerów“ (to już w tytule cała treść zawarta) — „Słomiany człowiek czyli teatr w Sochaczewie“ (i znów treść wyjaśniona), „Kto wie na co się to przyda“, „Lokaj Krętosz“, „Panna Pułkownik Huzarów“ (może jedyna komedja, która od Dziadów jak nazywano Teatr w gmachu Dobroczyńności czyli pierwszy Rozmaitości przeniosła się na Marywil, gdzie do 1856 r. dotrwała z Gwozdecką w głównej roli) „Indyk nadziany dukatami“.

Ze swojskich autorów najwięcej zasiliał repertuar Jasiński. Nadto winienem nadmienić, iż niepomnierny zaszczyt spotkał artystów Teatru Rozmaitości, gdyż hr. Skarbek napisał komedję „Popas“ i dał ją im do grania. Próbowano na tej widowni także zapoczątkować operetkę, a nawet jedna z nich „Tyrolka“ (1830 r.) cieszyła się dużym powodzeniem. Największy zaś sukces miała zawsze komedjo - opera



Kazimiera Złotnicka
laureatka Konkursu Śpiewaczego Polskiego Radja, utalentowana śpiewaczka, wystąpiła jako solistka w audycji radiowej

„Antoni i Antosia“ zachowała go w pełni, aż do 1830 r., dzięki wybornej grze tak znakomitych artystów jak Bakałowiczowa, Świeszewski, Chomiński i inni. Krytycznie przeglądając repertuar Teatru Rozmaitości zapytujemy siebie samych; w czym więc leżała tajemnica powodzenia tego teatru? ...oto w grze pełnej zapału i wiary w przyszłość. Nią porywali tłumy.

D. c. n.

Ulgowe kupony „Świata“ do Teatrów Niezależnych

Teatr Malickiej

pod dyr. Z. Sawana
Karowa 18. Tel. 5-29-99

KUPON „ŚWIATA“

ważny od 10.II do 16.II
upoważniający do nabycia 2-ch biletów ulgowych

z 40% zniżką

ważny codziennie o 8-ej (również w soboty i święta) a w niedzielę nadto o 4-ej ppł. w kasie teatru cały dzień bez przerwy od 11-ej rano do 8-ej w.

Teatr „8.15“ Śniadeckich 5
Tel. 7-00-26

KUPON „ŚWIATA“

ważny od 10.II do 16.II
upoważniający do nabycia 2-ch biletów ulgowych

z 40% zniżką

(prócz sobót i świąt) w kasie teatru
od 11 — 2 i od 5-ej ppł.
od 8-ej w. na wszystkie miejsca



Bruźlica p ł u c

jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar. — Przy zwalczaniu chorób płucnych: bronchitu, grypy, uporczywego męczącego kaszlu i t. p., stosują pp. Lekarze „Balsam Trikolan-Age“, który ułatwia wydzielanie się plwociny, usuwa kaszel, wzmacnia organizm i powiększa wagę ciała. Do nabycia w Aptekach.

ŻĄDAJCIE

*najwyraźniej
tylko:*

„OLLA“ GUM...!

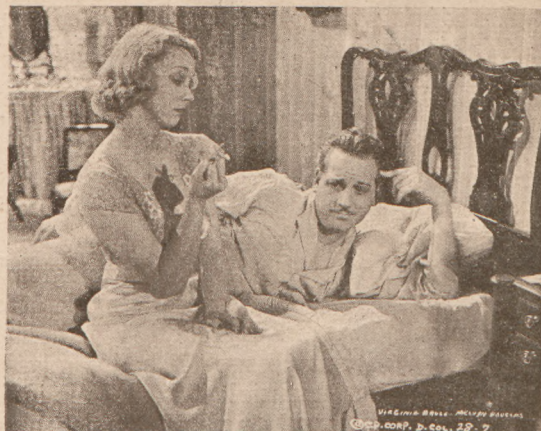
ŚWIAT FILMU

Polskie filmy na warsztacie

„Iwonka“ według powieści Juliusza Germana zostanie sfilmowana przez wytwórnię AGE - Film. Reżyseruje Konrad Tom. W filmie tym tytułową rolę odtworzy Elżbieta Barszczewska (kilkanaście lat temu w niemieckiej wersji grała Smosarska).

„Sygnaty“ — polski film reżyserii J. Lejtesa posiada dwie linie. Jedną komediową (Ćwiklińska, Grabowski) — słabszą i mocną

Miła para amantów wytwórni Columbia: Melwyn Douglas i Virginia Bruce



dramatyczną (Żelichowska, Pichelski). Film wyreżyserowany doskonale, a gdy idzie o porównanie z „Granicą“ — to fabuła więcej nadająca się na ekran niż powieść Nałkowskiej, o czym pisaliśmy. Epizody wyzyskane doskonale.

L. B.

Na eży mu się nagroda

Pod nagłówkiem: „Należy mu się nagroda“ powstała na łamach amerykańskiej prasy dyskusja: który z bohaterów jednego filmu lepiej zagrał, któremu należy się nagroda? Film ten — to „Boys Town“ — „Miasto Chłopców“. Bohaterami tego obrazu są: Spencer Tracy i Mickey Rooney.

Sam film jest oparty na autentycznym, istniejącym w stanie Omaha mieście, zorganizowanym przez kler katolicki Ameryki, w którym znajdują przytułek wyłącznie bezdomni chłopcy.

„Miasto Chłopców“ ilustruje dzieje powstania i rozwoju wspaniałego osiedla, opartego na zasadach etyki, wiary, honoru.

Dzieje młodego, wykołowanego przez życie chłopca, mającego wszelkie zadatki na bandytę, który nie chce i nie umie zaaklimatyzować się w nowym środowisku, jego losy i przemiany oparte również na faktach autentycznych — posłużyły twórcom filmu za motyw przewodni. Rolę chłopca odtwarza utalentowany, coraz to bardziej wybijający się na pierwszy plan Mickey Rooney. Spencer

Tracy jest księdzem, który zakłada „miasto chłopców“, małą republikę ludzi jutra, którzy sami się rządzą, sami decydują o swym losie według swego sumienia i uznania.

Film jest z wielu względów sensacją. Przedewszystkiem temat jego, zupełnie dotąd niewykorzystany, myśl przewodnia i gra — stały się w pewnym sensie kijem w mrowisku dla sfer publiczności kinowej i ludzi filmu.

A najciekawsze jest to, że ogół, przynajmniej, że film jest zupełnie „different“ (różny) nie potrafi zdecydować, który z czołowych aktorów gra lepiej, czy aktor o dojrzałym talencie i wielkiej sławie — Spencer Tracy, czy szesnastoletni, ale już objawiający znamiona wielkiego, wybitnego talentu — Mickey Rooney.

Ciekawe, jak skończy się ta dyskusja, która najpewniej zadecyduje, który z tych dwóch aktorów dostanie w najbliższym czasie nagrodę Akademii Filmowej w Hoolywood.



Przed wyjściem
z domu...

wystarczy przeciągnąć
puszkiem, aby subtelny,
przylegający puder nadał
Pani wygląd świeży i po-
wabny — byle by to był, roś-
linny, nie zatykający porów

**PUDER
ABARID**

